



# Wielkopolski Widnokrag

PERIODYK LITERACKO - KULTURALNY



**Od Redakcji** 1. **Małgorzata Jańczak**: Nobel w spódnicy: Sigrid Undset 2. **Marcel Woźniak**: Kolebka Pospieszalskich 3. **Przemysław Kulczak**: Baku jak z powieści 4. **Bohdan Cieślak**: XIX Międzynarodowy Konkurs Małej Formy Graficznej i Exlibrisu 5. **Poezja**: Agata Widzowska 6. **Poezja**: Leszek Pułka 7. **Poezja**: Michał Domagalski 8. **Tomasz Gruchot**: O obrotach sfer lirycznych - recenzja 9. **Danuta Zasada**: Szlakiem niszowych literatur 10. **Anna Przybylska**: Portret Podwójny - recenzja 11. **Bogna Skrzypczak-Walkowiak**: Wywiad z Donatą Dominik-Stawicką 12. **Donata Stawicka**: Wojna o Odolanów (fragm.) 13. **Tomasz Kruczek**: Przygody Brata Tomasza (fragm.) 14. **Ares Chadzinikolau**: Krawiec 15. **Zbigniew Niedźwiecki Ravicz**: Wszystkiemu winne te pierdoły 16. **Beata Bednarowska**: Wielość słów i znaczeń 17. **Kalina Izabela Ziola poleca**: Pilar Gonzales Espana - poezja 18. **Debiuty**: Sara Żyła - poezja 19. **Danuta Ewa Dachtera**: Dzieje pięknej Bitynki 20. **Maria Magdalena Poggaj**: Kobieta czesząca się 21. **Emilian Prałat**: Wyjątkowa wystawa mickiewiczowska 22. **Dariusz Głowacki**: Patrząc - Widząc 23. **Zbigniew Cichocki**: Katamaran Polkat i Mieszko I 24. **Janusz Urbaniak**: Ostrowskie wydarzenia kulturalne 25. **Poznaj Wielkopolski Widnokrag** • Wiersz na (d)okładkę: **Paweł Pawłowski**  
*Rysunek na okładce: Bohdan Cieślak*

Wiersz na (d)okładkę:

\*\*\*

DNA odciętego palca  
wskazuje

na Chrystusa  
z karabinem na ramieniu  
wraca wątek kubański

castracja trzciny  
/ koszulka  
z podobizną che  
lepi się do ciała /  
cukier krzepi rewolucję

radio hawana nadaje

przemówienie  
nieprawdopodobnie długie  
wydłuża kolejkę przy barze

maczeteros bez maczet

*Paweł Pawłowski*



*Kompilacja rys.  
W. Żakrzewski*



Zrealizowano ze środków Samorządu  
Województwa Wielkopolskiego



Redakcja wyraża podziękowanie Autorom za nieodpłatne udostępnienie tekstów i materiałów ikonograficznych z archiwów prywatnych.

Redakcja zastrzega sobie zmiany redakcyjne w nadesłanych przez autorów tekstach ze względu na kompozycję i możliwości edytorskie.

Okładka: Rysunek, Bohdan Cieślak.

WIELKOPOLSKI WIDNOKRĄG, PERIODYK LITERACKO-KULTURALNY

Redaktor naczelna: Edyta Kulczak, Redaktor graficzny i skład DTP: Witold Zakrzewski.

Redakcja: Beata Bednarowska, Przemysław Kulczak, Stali współpracownicy: Bohdan Cieślak, Małgorzata Jańczak, Zbigniew Ikona Kresowaty, Danuta Zasada.

Numer 2 (12)/ jesień - zima 2025. Wszelkie prawa zastrzeżone ©2020-2025.



Ekologiczne Stowarzyszenie  
Środowisk Twórczych EKOART

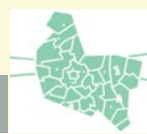
## *Drodzy Czytelnicy!*

*Kończymy kolejny rok niezwykajnie. „Wielkopolski Widnokrąg” po pięciu latach publikowania literatury i sztuki w przestrzeni mediów internetowych doczekał się czasu szczególnego☺! Kilka dni temu wspólnie z Witoldem Zakrzewskim, naszym redaktorem graficznym, demontowaliśmy spektakularną wystawę „Poznaj Wielkopolski Widnokrąg”, prezentującą przez niemal trzy tygodnie nasze pismo i autorów z nim związanych na Wolnym Dziedzińcu Urzędu Miasta Poznania przy placu Kolegiackim. 27 olbrzymich plasz, specjalnie graficznie i artystycznie zaprojektowanych, plasz z poezją, obrazami, fragmentami prozy, esejów obejrzało tysiące odbiorców. Listopad okazał się dobrym czasem dla sztuki i literatury w przestrzeni miasta. Dwa ważne dla Polaków święta – Wszystkich Świętych i Święto Niepodległości – wspierane przez wyjątkowo dobrą tego roku pogodę, wywołały Poznaniaków z domów na spacer, miejskie peregrynacje i jesienne rozmyślenia w plenerze. A nas uszczęśliwiły! Praca Redakcji, starania artystyczne i talenty kilkudziesięciu, a może setek twórców, zostały uhonorowane znakomitą w naszym mniemaniu reklamą. Zaprojektowaliśmy wystawę w taki sposób, aby prezentowała charakter, sens i jakość pisma. Staraliśmy się pokazać tych, którzy pracują z nami stale i na wielu płaszczyznach. Docenili nas odbiorcy – interakcje internetowe z czasopiśmie to kilkadziesiąt tysięcy odbiorców. Doceniły nas ważne urzędy – Urząd Miasta Poznania i od początku - Samorząd Województwa Wielkopolskiego, który bez przerwy wspiera czasopismo i działalność kreatywną w ramach projektu Wielkopolska Kultura Połączona Siecią.*



*Dzisiaj nowy dwunasty numer. Znane Wam i nowe nazwiska. Także twórcy rezydencji literackiej w Antoninie „Goście Radziwiłłów”. Duża dawka dobrej literatury i wieści o artystycznych działaniach w Wielkopolsce. Bądźcie z nami. Cieszcie się z nami. Czytajcie „Wielkopolski Widnokrąg” w Internecie i w wydaniu papierowym, które ukaże się wkrótce dzięki wsparciu Biblioteki Raczyńskich.*

*Redaktor naczelna Edyta Kulczak*



Małgorzata Jańczak

## Nobel w spódnicy – Sigrid Undset

W 1928 roku Nagrodę Nobla przyznano Sigrid Undset z Norwegii za niezapomniany opis skandynawskiego średniowiecza.

Życie Sigrid Undset było równie ciekawe jak jej twórczość. Rozbiła małżeństwo mężczyzny, który miał troje dzieci. Po trzynastu latach artysta-malarz o nazwisku Anders Castus Svarstad odszedł od niej, a Undset adoptowała jego dzieci z pierwszego małżeństwa i wychowała je razem z własnymi. Choć żyła w kraju ewidentnie ewangelickim, w wieku 42 lat poprosiła o przyjęcie do kościoła katolickiego i została świecką dominikanką.

Sigrid Undset urodziła się w maju 1882 roku w Danii, a gdy miała dwa lata jej rodzina przeniosła się do Norwegii. Ojciec Ingvald Undset był Norwegiem, wykształconym filologiem klasycznym i nordyckim oraz cenionym archeologiem, matka Charlotte była Dunką. W Oslo, dawniej zwanym Kristiania, Ingvald Undset objął stanowisko dyrektora Muzeum Starożytności. Przyszła noblistka i jej dwie młodsze



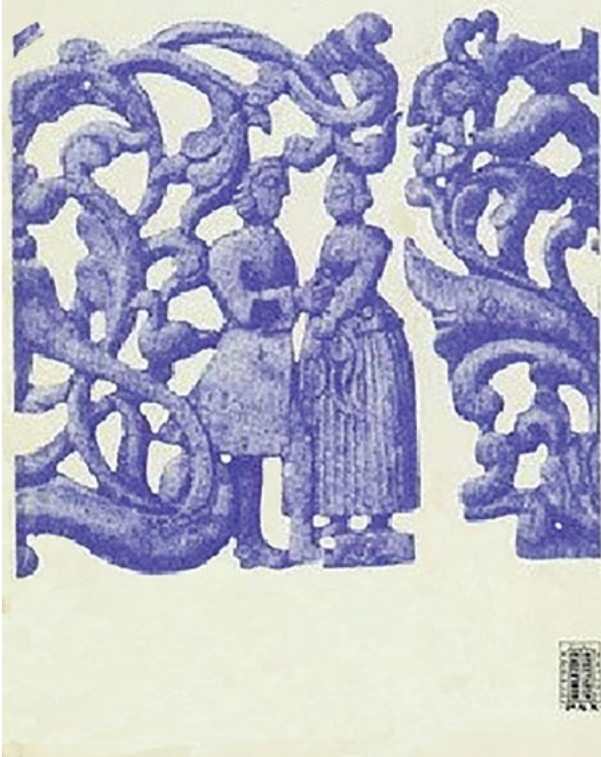
Sigrid Undset. Źródło: Wikipedia.

siostry po ukończeniu podstawowej edukacji rozpoczęły naukę w koedukacyjnej pensji Ragny Nielsen. Niestety, nagle umiera ojciec, a jego śmierć spowodowała pogorszenie się sytuacji finansowej rodziny do tego stopnia, że przyszła pisarka musiała zrezygnować z marzeń o studiach. Gdy miała szesnaście lat ukończyła kurs dla pracowników biurowych i podjęła pracę sekretarki. Pracując, studiowała i przygotowała pierwszą swoją powieść historyczną. Kilkusetstronicowe dzieło zostało odrzucone przez wydawców z uwagą, by raczej nie zajmowała się powieścią historyczną. Rozłoszczona przyszła Noblistka wysłała wydawcy kolejną powieść. Krótkie osiemdziesięciostronicowe opowiadanie pt. *Pani Marta Oulie* rozpoczęła zdaniem: *Zdradziłam swojego męża*. Młoda pisarka stworzyła realistyczną postać kobiety wywodzącej się z klasy średniej Kristiani. Ta realistyczna powieść o cudzołóstwie wywołała duże poruszenie, a autorce dało miano najbardziej obiecującej młodej pisarki w Norwegii. Przez następnych kilka lat opublikowała kilka powieści osadzonych we współczesnej jej Kristiani, przedstawiających losy jej mieszkańców.



Sigrid Undset *Krystyna*- córka Lavransa.

## Sigrid Undset Madame Dorthea



Sigrid Undset, *Madame Dorthea*, 1912.

i skoncentrować się na pisaniu.

Kiedy pierwsza żona byłego męża Sigrid z powodów finansowych postanowiła oddać dzieci do sierocińca, Undset adoptowała je i opiekowała się nimi jak własnymi. Przez wiele lat w dzień zajmowała się gromadką dzieci, a nocami – pałac papierosy jak smok – pisała.

Dopiero po rozstaniu z Andersea Svarstadem, pomimo opieki nad szóstką dzieci, Undset stworzyła swoje największe dzieło *Krystyna, córka Lavransa*. Trylogia składała się z powieści pt.: *Wianek, Żona i Krzyż*. Akcja utworu rozgrywa się w XIV wieku. Główną bohaterką jest Krystyna, córka chłopca z Sel w dolinie Gudbrandsdalen. Pisarka opisuje jej życie od czasu, gdy jest dziewczynką, do momentu śmierci. Tło historyczne przedstawione w powieści charakteryzuje dbałość o detale. Pisarz Hans Herbjørnsrud zauważył, że: *Undset udało się połączyć ze sobą dopracowaną sztukę narracyjną sag, poezję pieśni ludowych i doniosłość żywotów świętych i stworzyć z nich własny język, który równocześnie wydaje się świeży, jak i starodawny*.

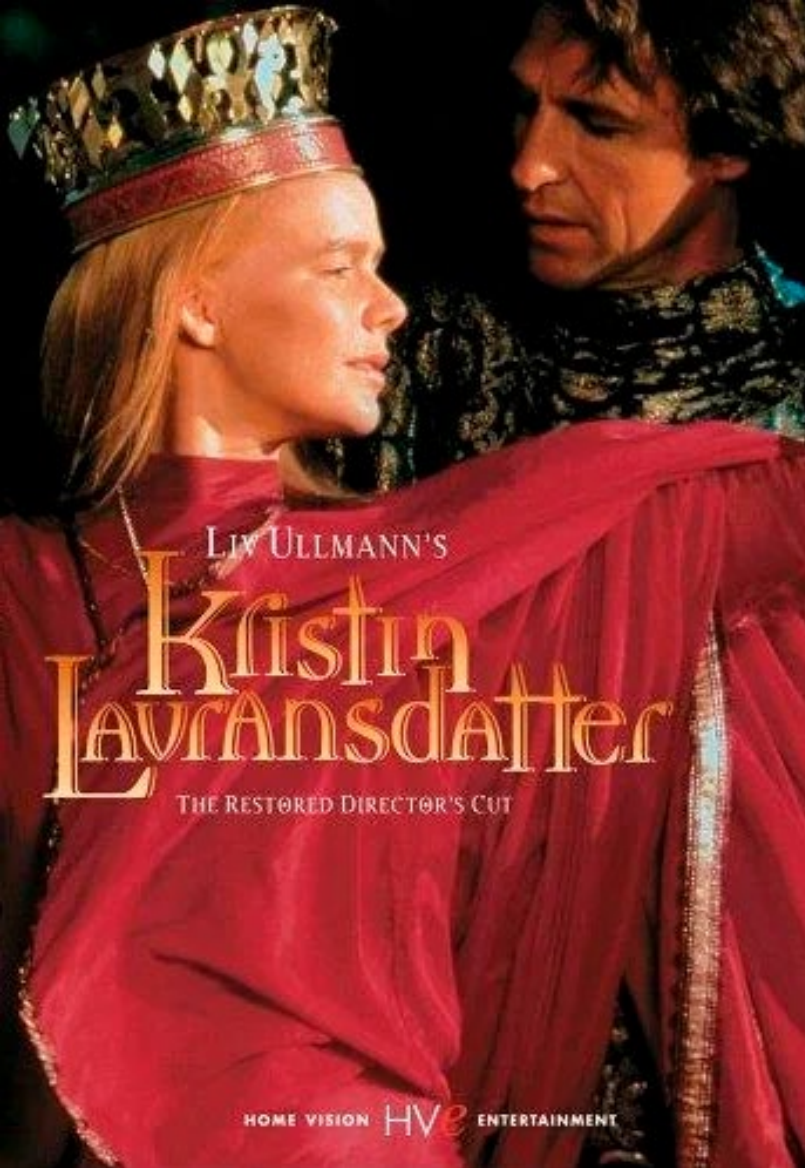
W 1928 Sigrid Undset została laureatką Nagrody Nobla w dziedzinie literatury za „niezapomniany opis skandynawskiego średniowiecza”. Pisarka zrezygnowała z wygłoszenia wykładu noblowskiego, twierdząc: *Lżej mi pisać niż mówić, tym bardziej mówić o sobie*.

Ostatnim jej dziełem jest *Madame Dorthea*.

Debiutancka powieść przyniosła Sigrit nie tylko popularność, ale i państwowe stypendium. Mogła porzucić pracę i udać się w podróż do Niemiec i Włoch. W Rzymie poznała malarza Andersea Castusa Svarstada, w którym się zakochała. To spotkanie zaowocowało powieścią *Jenny*. Opisała w niej historię swojej nieszczęśliwej miłości do żonatego, starszego od niej o 13 lat malarza. Svarstad miał żonę i dzieci. Przez ponad trzy lata starał się o rozwód. Wreszcie w 1912 roku mogli się pobrać. W rok później urodziło się ich pierwsze dziecko, potem drugie i trzecie. Utrzymanie całej tej gromadki spadało na Sigrid. Od 1919 roku pisarka utrzymywała również dzieci malarza z pierwszego małżeństwa. Biorąc pod uwagę fakt, że córka Undset i jeden z synów Svarstada byli dziećmi upośledzonymi umysłowo, były to dla pisarki bardzo trudne lata. Biorąc udział w debacie politycznej na temat praw kobiet, kończyła swoje ostatnie powieści realistyczne. Pisarka przeniosła się do Lillehammer. Miało to być miejsce tylko przejściowe na odpoczynek, jednak niespodziewanie małżeństwo pisarki się rozpadło. Wtedy to Sigrid z dużego domu Lillehammer w stylu tradycyjnej architektury norweskiej postanowiła uczynić oazę dla siebie i dzieci. Tutaj mogła nie tylko zająć się, ale



Wizerunek Sigrid Undset na banknocie norwe-



Plakat do filmu *Krystyna, córka Lavransa* w reżyserii Liv Ullmann z 1995 roku.

wśród polskich czytelników. Po tylu latach problemy w nich poruszane, głównie pokazujące sytuację kobiet, wydają się zaskakująco aktualne. W bibliotekach, gdy dobrze poszukać, można znaleźć stare, zakurzone tłumaczenia powieści bojowniczkini o prawa kobiet, noblistki – Sigrid Undset. W 1995 roku najbardziej znana powieść pisarki *Krystyna, córka Lavransa* doczekała się ekranizacji. Film wyreżyserowała Liv Ullmann.

Akcja tej niedokończzonej powieści toczy się na przełomie XVIII i XIX wieku. Bohalterka po śmierci męża pozostaje sama z siódmką dzieci i musi poradzić sobie z trudnościami życia. Wszystko rozgrywa się na barwnym tle życia dworów norweskich.

W 1938 roku zmarła córka pisarki, potem matka, a w 1940 roku podczas kampanii norweskiej ginie jej starszy syn. Undset otwarcie występuje przeciwko narodowemu socjalizmowi, dlatego po zajęciu Norwegii przez Wehrmacht musi opuścić kraj. Razem z młodszym synem przez Szwecję, Związek Radziecki i Japonię wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych.

W czasie II wojny światowej prowadziła działalność propagandową przeciwko proniemieckim rządóm Vidkuna Quislinga, popierając norweski rząd emigracyjny w Londynie. Po powrocie do Norwegii w 1945 roku została uhonorowana Krzyżem Wielkim Orderu Świętego Olafa. W ostatnich latach życia poświęciła się głównie literaturze dziecięcej. Zmarła na udar mózgu 10 czerwca 1949 w Lillehammer.

Szkoda, że powieści Undset, choć robią duże wrażenie, nie zajmują ważnego miejsca

*Małgorzata Jańczak*

*Materiały zdjęciowe ze zbiorów Autorki oraz Internet.*



**Małgorzata Jańczak** - *Nie umiem: grać na fortepianie, śpiewać, mówić językami świata. Nie dostałam: Nagrody Pulitzera ani Prix Italia i kilku innych. Chociaż w dowodzie osobistym napisano mi: „Znaków szczególnych brak”, to od czasu do czasu napiszę coś ciekawego w „Wielkopolskim Widnokregu”.*



Marcel Woźniak

**Pospieszalscy****KOLEBKA POSPIESZALSKICH**

Najwięcej wiadomo o rodzinie od strony prababci dziewiątki rodzeństwa Pospieszalskich, Łucji. Jej najstarszy udokumentowany przodek to niejaki... Przedpełk urodzony w roku 1120 (!). Łucja, jedna z dwanaściorga rodzeństwa, przyjdzie na świat w Sierakowie w 1848 roku. Jedną z jej siostrzenic spisze wspomnienia, o których mówiła Irena: Mizgalscy: kupcy, rzeźnicy, piekarze. Rodzina Pospieszalskich mieszka w Środzie Wielkopolskiej już od kilku stuleci. Mateusz Pospieszalski, rocznik 1778, bierze za żonę swoją równolatkę Wiktorię Sybilską. Ich syn Szymon Pospieszalski, rocznik 1811, również poślubi swoją równolatkę: Franciszkę Bartoszkiewicz. Owocem ich związku będzie jedenaścioro dzieci, w tym Nikodem

Pospieszalski, rocznik 1843. Szymon był właścicielem gruntów przy rynku w Środzie, których ze względów patriotycznych nie chciał sprzedać niemieckiemu bankowi.

Według rodzinnych wspomnień do powstania styczniowego w roku 1863 roku pali się trzech braci: Nikodem, Józef i Nepomucen. Nikodema ponoć w ostatniej chwili powstrzymuje ksiądz z pobliskiej parafii, czego Nepomucen nie będzie mógł bratu przez lata wybaczyć. Nikodem Pospieszalski, budowniczy ze Środy Wielkopolskiej, w 1872 roku w Wilkowyci, powiat jarociński, bierze za żonę Łucję Mizgalską. Łucję, która za młodu wygląda ponoć jak Maria Skłodowska-Curie. Ich wnuk Antoni ożeni się kiedyś ze Szkotką Sheeną Currie, ale zbieżność nazwisk jest przypadkowa. A co



Młodzi Pospieszalscy. Fot. Jerzy Kromotowski.  
Zdjęcie z archiwum Aleksandry Paradowskiej.

się będzie działo w Jarocinie za sto dwadzieścia lat... to niech zostanie w Jarocinie! Teraz jest przełom XIX i XX wieku, fin de siècle. Pierwszy z ósemki dzieci Nikodema i Łucji, Marian Pospieszalski, rocznik 1876, interesuje nas najbardziej. To dziadek genialnego rodzeństwa muzyków, dziadek Ireny i pradziadek Oli.

**STATEK MIŁOŚCI**

Początek XX wieku. Marian jest bystry, chce studiować i porządnie się wykształcić. Naturalną kolejną rzeczą jest pójście w ślady ojca, sprawnego w swym fachu budowniczego.

Są zabory, więc jedzie się uczyć na politechnikę berlińską. Ukończywszy studia, jako mieszkaniec zaboru pruskiego, ale narodowości polskiej, nie może z tym wykształceniem wrócić do domu.

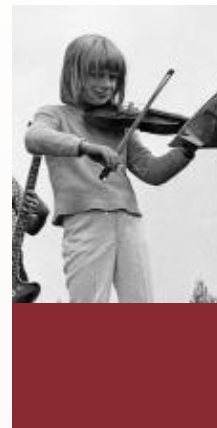
– Proszę sobie wyobrazić: był zakaz powrotu do zaboru z wykształceniem – tłumaczy Irena.

– I dostał nakaz pracy.

Jako inżynier budownictwa lądowego trafia przed I wojną światową na wyspę Borkum, ma wznosić fortyfikacje. Po swojej zmianie w pracy codziennie wraca do domu, przepływając się na stały ląd promem. Tym samym środkiem transportu przemieszcza się pewna kobieta...

– Tam się poznali, Marian Pospieszalski i Helene Meiners. – Tu Irena uśmiecha się i mówi ściszym głosem. – Ta znajomość przedzierzgnęła się w uczucie...

Helene jest ewangeliczką, pochodzi z Lingen. Marian jest katolikiem, pochodzi – jak już się rzekło – ze Środy Wielkopolskiej. Nie staje im to jednak na przeszkodzie. Przeprowadzają się, razem, do mieszkania przy Auf dem Kamp w Bremie. Helene Meiners, czyli babunia – jak będą ją nazywać potomkowie – jest wyższa od swojego partnera. (Do tego włosy zawsze nosi spięte w kok, rozpuszcza je tylko na noc). Tak, partnera, bo o ślubie na razie nie ma mowy, właśnie przez to, że rodzina z Lingen krzywo patrzy na ich związek.

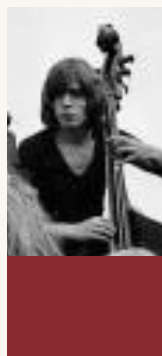


## DZIŚ SPOTKAM MOJEGO BRATA

Nikodem nie rozmawiał ze swoim młodszym bratem Nepomucenem od pamiętnego roku 1863. Od tamtej chwili minęło więc już bez mała czterdzieści sześć lat. Jest rok 1909, Nikodem przebywa w Warszawie. Rano budzi się z dziwnym wyrazem twarzy i wwiercającą się w głowę myślą, jakoby tego dnia miał spotkać swojego brata. Rzecz dzieje się niezwykle. W tym samym czasie do Warszawy przybywa Nepomucen. Wpadają na siebie na ulicy. I bracia się godzą. Dziwne przypadki z życia Nikodema to i tak nic w porównaniu z tym, co spotka jego syna: Marian przeżyje dwie swoje śmierci i dopiero trzecia okaże się tą ostateczną.

## DOM

Przy Auf dem Kamp w Bremie mieszka krótko pierwszy syn Mariana i Helene (dziadzi Mariana i babuni Pospieszalskiej), Karol Marian. Wkrótce całą trójką przenoszą się do stolicy. Dzielnica Berlin-Marienfelde, zadrzewiona Grossbeerenstraße i mieszkanie w dwupiętrowym domu. Przed wejściem skwer, obok sosnowy las. W jednym ze swoich wspomnień z dzieciństwa Karol Marian napisze, że dziwił się, idąc wieczorem, że księżyc wędruje razem z nim. Że bał się stracha na wróble stojącego w ogrodzie koło dworca. Że dom otoczony był lasem, że niedaleko była linia kolejowa i że aby skorzystać z telefonu, musieli iść do pobliskiego sklepu Rohlow parkowymi alejami. I że w 1912 roku, listopadową nocą, przyleciał bocian i ugryzł mamę Helene w nogę, a potem tata zawołał Karola Mariana do pokoju, by zobaczył swojego brata, Antoniego. Bocian przyleci jeszcze trzykrotnie, przynosząc do domu Pospieszalskich Helę w 1915, Stanisława w 1917 i Meruchnę w 1919 roku. Jesienią 1914 roku przeprowadzają się do nowego mieszkania, w Mariendorfie. Dziadzia Marian nieźle zarabia, odpowiada za budowę całego osiedla Wünsdorf. Gdy czasem wyjeżdża do rodziny w Środzie Wielkopolskiej, zawsze podróżuje tam... sam. „Dopiero po wojnie dowiedziałem się, co się za tym kryło” – wspomina Karol Marian w swojej książce „To wszystko przeżyłem...”. „Mama była Niemką, a do tego małżeństwa ojciec przyznać się nie mógł. Kiedyś znalazłem w Środzie stary list mego ojca, w którym pisał, że słyszał, że «gniew na niego ustał». Nawiązanie stosunków z rodzeństwem mojego ojca, które częściowo także mieszkało w Berlinie, oraz z dziadkami w Środzie, nastąpiło dopiero w czasie wojny”. Już pół roku później, wiosną 1915, są w Grudziądzu. Marian zostaje powołany do wojska. Jedzie sam. Helene dojeżdża po trzech miesiącach, już



z trójką dzieci. „Nie pamiętam jej urodzin – Karol Marian ma na myśli Helę – ale wiem dobrze, że w berlińskim ogrodzie zoologicznym, za cichą namową ojca, zamawiałem ją u miejscowego bociana”. Pytanie, które zadają sobie przy śniadaniu, obiedzie i kolacji brzmi: czy ich tata zostanie posłany na front? Na razie stacjonuje w Grudziądzu, z oddziałem artylerii ciężkiej w forcie Wielka Księża Góra. Pewnego dnia w trakcie wykonywania rozkazów wierzchowiec, na którego grzbiecie siedzi Marian, wyrwa nagle przed siebie i galopuje wprost na druty kolczaste. Pewna śmierć czeka i konia, i jeźdźca. Marian, zachowując przytomność umysłu, w ostatniej chwili zeskakuje na ziemię. Opowie potem żonie, że było to „zrządzenie opatrności”, które ocaliło go od wyjazdu na front. Nikt przecież nie pośle do bitwy takiego marnego – w ich przekonaniu – jeźdźca. Był to oczywiście fortel, Marian znał się na koniach doskonale.

Wkrótce wysyłają go do zajętej przez Niemców 5 sierpnia 1915 roku Warszawy, do służby budowlanej, a później – do Rumunii. Helene wraca w tym czasie z dziećmi do Berlina, dokąd Marian przysyła z armii paczki, najczęściej są w nich kawałki słoniny. 28 marca 1917 roku na świat przychodzi Stanisław Pospieszalski, ojciec głównych bohaterów tej książki.

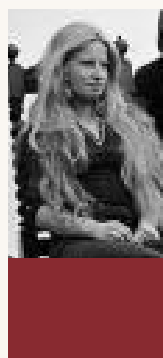
### PIERWSZA ŚMIERĆ MARIANA

Marian jako zarządca tartaków służy w otoczeniu Augusta von Mackensena – zdobywcy Bukaresztu, a później gubernatora wojskowego okupowanej Rumunii. Będąc w komisji kwalifikującej żołnierzy na front, w tajemnicy przed innymi, dziadzia skreśla z listy Polaka nazwiskiem Piasny, ratując go w ten sposób przed służbą. Synek Mariana, Karol Marian, dostaje w tym samym czasie po twarzy od nauczycielki. Za grzeczne siedzenie i nieodzywanie się w ostatniej ławce. Gdy przesłuchany przez dyrektora odpowiada, że ojciec jest w wojsku, słyszy: – Jesteś zatem Niemcem!



Tymczasem przychodzi telegram: Marian wraca do domu! Helene z synami jadą tramwajem na dworzec przy Alexanderplatz. Chłopcy od tak dawna nie mogli się doczekać ojca, że często go mylili w Berlinie z kimś innym. Więc gdy wierzącego się na krzeselku Antoniego przygodny pasażer spyta, z czego się tak cieszy, ten odpowie, oczywiście po niemiecku: – Jedziemy po tatę, ale tego prawdziwego!

Są już na dworcu, ale pociąg dziwnie długo nie nadjeżdża. Wkrótce dochodzą ich tragiczne wieści: katastrofa kolejowa! Większość pasażerów zginęła na miejscu... Jeden z braci ojca zapewnia, że „gdyby Marianowi coś się stało, to on by to wiedział!”. Te magnetyzer-skie przepowiednie na nic zdają się załamanej Helene. Bo najpierw dyżurny ruchu na stacji oświadcza, że pociąg uległ katastrofie, potem chodzą pogłoski o zamachu, wybuchu, aż w końcu nazajutrz wiadomość w porannej prasie nie pozostawia złudzeń: w wypadku kolejowym w rumuńskim mieście Krajowa zginęło sto osób. Helene pogrąża się w żałobie, dzieci są zrozpaczone. Ale po trzech dniach ktoś puka do drzwi...



To Marian. Helene mdleje na jego widok. Ocucona, tonie w objęciach męża, być może nawet w rozpuszczonych włosach, których nie zdążyła jak zawsze spiąć, i być może dzieciaki też lgną do ojca. Pewnie Karol Marian, Antoni i Hela otaczają go wianuszkami, podczas gdy Stasiu leży jeszcze w kołysce. To jakiś cud! Karol Marian wspomina: Jakiś były minister rumuński zapytał ojca, czy miał już w tym roku urlop. Gdy okazało się, że urlop nie był wykorzystany, poradził mu, aby jak najprędzej z niego skorzystał, gdyż koniec wojny się zbliża i niebawem cała niemiecka armia zostanie internowana. Ojciec usłuchał go, zamówił stangreta na

szóstą rano i wysłał depeszę: „Przyjeżdżam. Alexanderplatz”. Lecz stangret zaspał, względnie jego zegar spóźnił się o godzinę. Pojechali potem co koń wyskoczy na dworzec, ale zobaczyli tylko tył odjeżdżającego pociągu. To było, zdaniem ojca, zrzęczenie opatrności!

Marcin Pospieszalski zna inną wersję wydarzeń od swojego ojca Stanisława, czyli syna Mariana. – Dziadek podobno spóźnił się na pociąg, bo... miał niedoczyszczone buty. A to przecież w wojsku rzecz nie do pomyślenia. Kiedy w końcu ruszyli, nieoczekiwanie urwało się koło dorożki. Marian biegł ponoć z torbami kilkaset metrów na dworzec, gdzie zobaczył tylko tył odjeżdżającego pociągu.

## NIEPODLEGŁOŚĆ I POWRÓT DO POLSKI: POZNAŃ



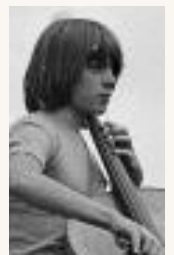
Miesiąc później wybucha rewolucja listopadowa w Niemczech. Za parę miesięcy Pospieszalscy podejmą decyzję o przeprowadzce do Polski. Karol Marian zapamięta ze szkolnej lekcji słowa nauczyciela matematyki, wyrażającego nadzieję, że „może stosunki między Polakami a Niemcami wreszcie się poprawią”. Pospieszalskim trzeba się zatem przeprawić przez granicę, ale czy strażnicy przepuszczą oficera niemieckiego z rodziną i żoną Niemką?

Marian z synem Karolem Marianem dostają się na teren Polski przez furtkę w zasiakach koło Myślenic. Z podróży do Warszawy chłopiec zapamięta widok wieży kościoła na Jasnej Górze. Nie ma wtedy pojęcia, że za dwadzieścia lat – wbrew nadziejom jego nauczyciela – stosunki polsko-niemieckie nie tylko się nie poprawią, ale że wybuchnie kolejna wojna światowa, a Pospieszalscy wylądują na jej czas właśnie tam, pod Jasną Górą, i że jego brat, Stanisław, w Częstochowie już zostanie, że w tym mieście napisze się kolejny, ponadstuletni odcinek rodzinnej historii. Zatem przez zasiaki koło Myślenic Marian z synem docierają do rodziny w Środzie Wielkopolskiej. Trzy dni później przyjeżdża Helene z trójką pozostałych dzieci. Dochodzi do spotkania z polską rodziną...

## CAŁUJĘ PRÓG RODZINNEGO DOMU

Irena opowiada, że w domu wielokrotnie wspomniano, że dziadzia Marian nie miał odwagi wziąć ślubu. – Bał się tego spotkania w Środzie Wielkopolskiej. Bał się, jakże oni przyjmą tę jego żonę. Mogło to wyglądać zatem tak, że jadąca przez granicę w Krzyżu, w towarzystwie niejakiego pana Majchrzaka, Helene z dziećmi dotarła parowozem do Poznania, a stamtąd do Środy. Mogło to wyglądać tak, że pierwszy na ich powitanie wybiegł mały Karol Marian, a za nim jego ojciec, żeby wziąć tobołki, odjąć dziecko – małego Stasia – z rąk matki. I teraz, całą szóstką, stają na ganku przed wejściem do domu zwanego Starą Chatą. Przez otwarte drzwi wychodzą im na powitanie przejęci Nikodem i Łucja. Wszyscy w końcu są razem, ale czy są rodziną? Czy da się połączyć dwa zwaśnione narody i dwa wyznania?

Łucja Mizgalska rzuca się żonie syna na szyję, obie wybuchają płaczem. I już wiadomo, że nie trzeba słów, nie trzeba nic wyjaśniać. Są odtąd rodziną i już. Być może Łucja spogląda na brzuch synowej – ta jest w piątej, zaawansowanej już ciąży. Nikt w Środzie Wielkopolskiej nie zastanawia się więcej, skąd Helene pochodzi ani czy chodziła do kościoła, jakiego i ile razy. W przyszłości, wspominając te wydarzenia, babunia Pospieszalska zawsze będzie się uśmiechać.



## POZNAŃ

Od tej pory zaczyna się ich życie rodzinne w Polsce, ze wszystkimi innymi Pospieszalskimi i Mizgalskimi. A obie rodziny były wielodzietne w każdym po-

koleniu, zatem liczba stryjków i stryjenek jest potężna. Mieszkają najpierw, krótko, na ulicy Chełmońskiego, a potem w domu z 1912 roku przy Krasińskiego 7 w Poznaniu, który to budynek nazwany zostanie przez kolejne generacje Pospieszalskich po prostu Krasiną. Krasina - kamienica przy Krasińskiego 7 w Poznaniu – tu będą mieszkały kolejne pokolenia Pospieszalskich.

*Marcel Woźniak*

**Fragment książki *Pospieszalscy. Rodzina*, która nakładem Wydawnictwa Marginesy miała premierę 12 listopada 2025 roku.**



**Marcel Woźniak**, pisarz, scenarzysta, biograf Leopolda Tyrmanda.



Przemysław Kulczak

## Baku jak z powieści

*W najpiękniejszej miejscowości - oazie naftowej pustyni, Baku - kędyś na tak zwanym Zychu, w zatoce Półwyspu Apszerońskiego, woniejącej od kwiatów i roślinności Południa, gdzie przejrzyste morze szmerem napępniało cienie nadbrzeżnych gajów, pani Barykowa nie miała zawsze nic pilniejszego do nadmienienia jak stwierdzenie, że na Sekule był „także” bardzo piękny staw (...).*

*Ale znakomita w Baku posada, grosz napływający do kiesy istną strugą - dobrobyt, spokój - wreszcie kraj ów, mlekiem i miodem płynący - powstrzymywały na miejscu. Zjawiało się nawet pewne przyzwyczajenie do tamecznego właśnie dobrobytu. Ciepły klimat, znakomite i nadzwyczajnie tanie południowe owoce, łatwość otrzymania za nijaki grosz przepysznych jedwabów, taniość pracy ludzkiej, możliwość spędzania pory upałów na Zychu, wygoda i dostatność urzędnika domowego - nie wypuszczały z tego kraju.*

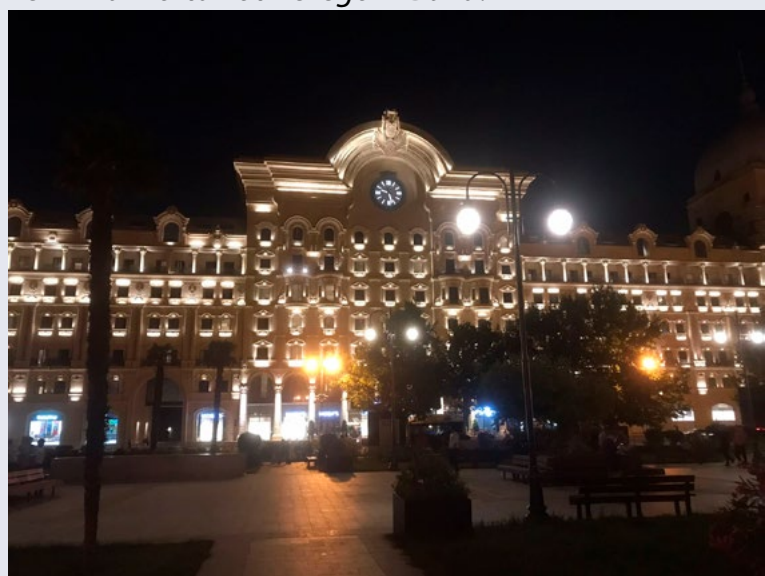


Takie fragmenty możemy przeczytać w znanym niemalże wszystkim Polakom Przedwiośniu Stefana Żeromskiego. Cóż, nic dodać, nic ująć, chciałoby się rzec, choć po nieco ponad wieku od powstania utworu (1924) warto chyba pokusić się o pewnego rodzaju aktualizację.

Baku, stolica Azerbejdżanu, to metropolia licząca dziś ponad dwa miliony mieszkańców, leżąca na południowym brzegu Półwyspu Apszerońskiego, nad Morzem Kaspijskim, czyli największym jeziorem świata. Nazwa miasta – według popularnej wersji – pochodzi od perskiego określenia Bâd-kube, oznaczającego „miasto uderzane wiatrem”.

Trzeba przyznać, że w „Mieście Wiatrów” (tak brzmi pseudonim Baku, nawiązujący do gwałtownych północno-zachodnich wiatrów oraz ostrych śnieżyc nawiedzających azerką stolicę zimą) rzeczywiście można poczuć niejedną powiew. I nie chodzi tylko o zwykły ruch powietrza, a o tchnienie historii, kultury i nowoczesności.

Już na samym początku, lądując na lotnisku Heydara Aliyeva, położonym około 20 kilometrów od miasta, łatwo odnieść wrażenie, że przybywamy do innego świata. Zwiastunem tego, co czeka nas dalej, jest wygląd jednego





z dwóch terminali portu lotniczego, który bardziej przypomina pałac niż terminal, a w nocy błyszczy jak wielki żyrandol.

Potem robi się coraz ciekawiej. Jedziemy autostradą w kierunku miasta i im bliżej celu jesteśmy, tym szerzej otwieramy oczy. Oto bowiem jak grzyby po deszczu wyskakują wymyślne i orientalnie oryginalne bryły miejskich budynków, z których niemal każdy mógłby poszczycić się czymś wyjątkowym i zasługiwałby na nagrodę w kategorii architektonicznej perełki.

Zdumiewające przy tym jest to, że im więcej osiedli się pojawia, im gęstsza staje się zabudowa zapraszająca do centrum, tym wyższy poziom osiąga niezwykłość domów. Zdają się one być zaprojektowane przez prawdziwego konesera i artystę, dopracowane w najdrobniejszych szczegółach niczym złoty zegarek w rękach mistrza zegarmistrzów, który za pomocą misternie wyważonych ruchów i szlifów każdemu z nich dodał coś od siebie – szczyptę ekstrawagancji.

Docieramy do centrum, ale na razie tylko na chwilę. Jeden rzut oka wystarczy, by zorientować się, że nie raz przyjdzie nam się jeszcze zachwycić, zadrzeć głowę do góry i zachłysnąć się bakijską rzeczywistością. Póki co schodzimy jednak do podziemi.

Stolicę Azerbejdżanu obsługuje sieć metra składająca się z czterech linii. Trafiamy na jedną ze stacji i czekamy na pociąg. Czas umilają nam pokrywające ściany i kolumny mozaiki przedstawiające sceny z najsłynniejszych dzieł Nizamiiego, XII-wiecznego poety, klasyka literatury perskiej, jednego z najwybitniejszych mistrzów poezji romantycznej, a przy okazji wielkiego bohatera Azerbejdżanu. Nizami Gandżawi, jak wskazuje jego imię, pochodził bowiem z Gandzy, dziś drugiego największego miasta Republiki Azerbejdżanu, i urodził się w perskiej rodzinie. Obrazy przygód opisanych w jego słynnych dziełach, prawdziwych perełkach perskiej literatury, jak np. *Chosrow i Szirin* czy *Lajla i Madżnun*, zdobią stację metra



Nizami.

We wczesny niedzielny poranek pociąg jest właściwie pusty. Nieliczni zaspani mieszkańcy, niczym zombie wyrwani ze snu, jadą dokądś, marząc o tym, by przymknąć oko. W takiej chwili wydaje się, że metro w Baku jest niepotrzebne, ale to tylko okrutne złudzenie. Już w poniedziałek wagony i stacje zapełnią się nieprzebranymi tłumami, które w okolicach godzin szczytu osiągną masę krytyczną. Stojąc wówczas na peronie, rozpychając się łok-



ciamy w dramatycznej walce o życie i strzępki powietrza, a potem dogorywając w nieprawdopodobnym ścisku na pokładzie maszyny pędzącej przez podziemne korytarze, można poczuć się jak uwięziona sardynka wepchnięta przemocą do puszki, której wieko zatrzaśnięto na cztery spusty. A potem wychodzimy na wolność, by doświadczyć tego, o czym pisał Żeromski: ciepłego klimatu tchnącego wonią kwiatów. Ciepłym nie można natomiast nazwać powitania, jakie otrzymujemy w Azerbejdżanie. Już na lotnisku zaskakuje nas oschłość celników i pracowników obsługi. W hotelu nie wygląda to wcale inaczej. Zupełnie, jakby podejście do turystów w Baku nie miało nic wspólnego z ową słynną turecką, perską i kaukaską gościnnością.



*Widok na Flame Tower.*

Jesteśmy w miejscu wyjątkowym. Owa kraina zagubiona za Kaukazem, wrzucona między wielką wodę a podnóża gór, umiejscowiona na styku trzech wielkich kultur – tureckiej, perskiej i rosyjskiej – a jednocześnie leżąca na peryferiach każdej z nich, wydaje się poniekąd zapomniana, a przez to stanowi zupełnie inną rzeczywistość. Rzeczywistość, która czerpie z trzech obfitych źródeł, ale nie wzbudza specjalnego zainteresowania żadnego z nich.

Azerowie, wchodzący w skład szeroko pojętej rodziny turkijskiej i posługujący się językiem azerskim, dość bliskim krewniakiem tureckiej mowy, są dziś połączeni silną więzią

zarówno z Turcją, jak i krajami Azji Środkowej: Kazachstanem, Turkmenistanem czy Uzbekistanem. Przeszłość Baku jest jednak skomplikowana i barwna co najmniej tak samo jak jego miejska tkanka. Oto w całej swej historii Baku zdążyło już być częścią wielu państw. Od VIII do XV wieku rządziła tu arabsko-perska dynastia szachów Szyrwanu. Od początku XVI wieku panowało na tych ziemiach perskie imperium Safawidów. Za ich czasów właśnie miasto przechodziło z rąk do rąk podczas licznych wojen, które Safawidzi toczyli w XVI wieku z Imperium Osmańskim, a w XVIII wieku z Imperium Rosyjskim. Po ich upadku Baku dalej stanowiło arenę walk. Rosja rządziła tu na przemian z kolejnymi perskimi dynastiami, aż w końcu w 1828 roku na mocy traktatu z Turkmanczaj stolicą dzisiejszego Azerbejdżanu na stałe znalazła się we władzy Rosjan. I wyrwała się spod niej dopiero w 1991 roku, po uzyskaniu przez Azerbejdżan niepodległości.

Wszystkie te burzliwe dzieje widać jak

*Flame Tower o zmroku.*





*Brama do Wewnętrznego Miasta.*

wapiennego w XII wieku, jeszcze za czasów szachów Szyrwanu. Trafiamy do Miasta Wewnętrznego, czyli historycznego centrum Baku o wąskich ulicach, otoczonego XII-wiecznymi kamiennymi murami obronnymi. Krążymy pomiędzy meczetami i karawanserajami. Przemykamy zaułkami. Wspinamy się po schodkach. Wdrapujemy się na wzgórze, na którym wznosi się piękny Pałac Szachów Szyrwanu: prawdziwa perła wschodniej architektury o dziedzińcach położonych na kilku różnych poziomach oraz kopułach lśniących w świetle dnia. Potem zaś przechodzimy do współczesnego centrum pełnego eklektycznej architektury o jasnych, kremowych fasadach oraz licznych elementach dekoracyjnych, nasyconej niekiedy orientalnym kolorytem. Charakteryzuje się ona detalami rzeźbiarskimi, elegancką estetyką i motywami klasycznymi. Powstała w czasach, gdy miasto było we władaniu imperialnej Rosji i przeżywało swój dynamiczny rozkwit.

W końcu trafiamy na kilkukilometrową nadmorską promenadę – szeroką aleję, wzdłuż której długim rzędem ciągną się tereny zielone i parki dające upragniony cień w upalne dni oraz fontanny i restauracje przynoszące zbawienne orzeźwienie. Historia owego bulwaru, równoległego do słynnego Prospektu Nafciarzy, czyli głównej ulicy miasta, przy której daw-

*Panorama Baku.*



na dłoni, gdy w kolejnych dniach przechadzamy się po Baku. Warto wspomnieć, że centrum, leżące nisko nad brzegiem Morza Kaspijskiego, jest otoczone przez wzgórza porośnięte gęstym lasem zabudowy, z których roztacza się piękny, panoramiczny widok. Gdy natomiast zstąpimy ze wzgórz, robiąc po drodze przystanki w licznych skwerkach, parkach i ogródkach, otwiera się przed nami równie urzekający pejzaż, niczym księga bakijskiej historii.

Mijamy na przykład symbol miasta: zabytkową Basztę Dziewiczą wzniesioną z kamienia wapiennego w XII wieku, jeszcze za czasów szachów Szyrwanu. Trafiamy do Miasta Wewnętrznego, czyli historycznego centrum Baku o wąskich ulicach, otoczonego XII-wiecznymi kamiennymi murami obronnymi. Krążymy pomiędzy meczetami i karawanserajami. Przemykamy zaułkami. Wspinamy się po schodkach. Wdrapujemy się na wzgórze, na którym wznosi się piękny Pałac Szachów Szyrwanu: prawdziwa perła wschodniej architektury o dziedzińcach położonych na kilku różnych poziomach oraz kopułach lśniących w świetle dnia. Potem zaś przechodzimy do współczesnego centrum pełnego eklektycznej architektury o jasnych, kremowych fasadach oraz licznych elementach dekoracyjnych, nasyconej niekiedy orientalnym kolorytem. Charakteryzuje się ona detalami rzeźbiarskimi, elegancką estetyką i motywami klasycznymi. Powstała w czasach, gdy miasto było we władaniu imperialnej Rosji i przeżywało swój dynamiczny rozkwit.



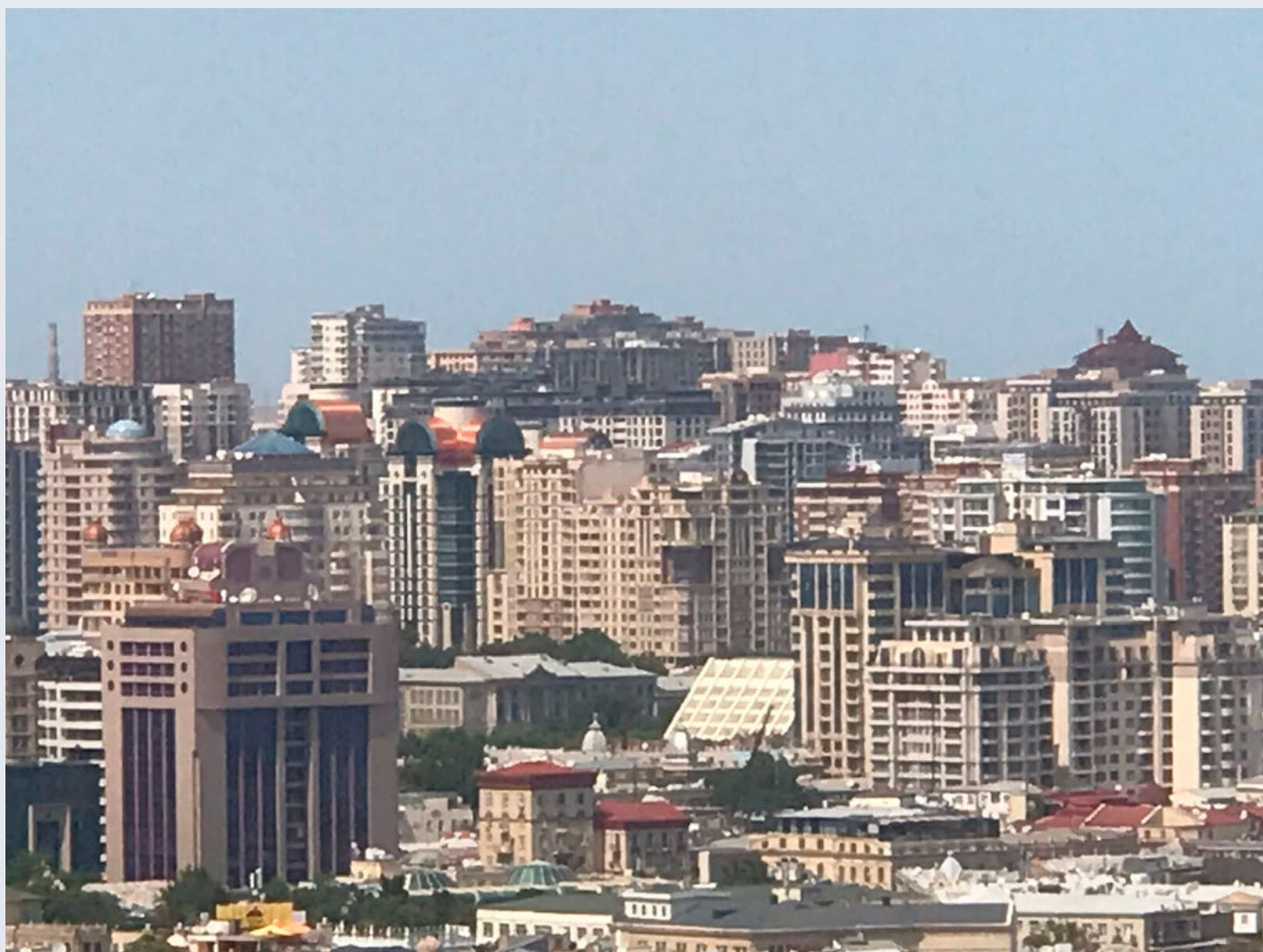
*Crescent Bay.*

niej miejscowi bogacze wznosili swoje rezydencje, sięga ponad stu lat, a swój udział w jego projektowaniu miał polski inżynier Kazimierz Skórewicz. Wreszcie wstępujemy na urokliwe molo, gdzie można poczuć bryzę we włosach i zapach ropy naftowej w nozdrzach.

Azerbejdżan słynie z bogatych złóż tego surowca i z przemysłu naftowego, intensywnie rozwijanego tu już za czasów carskiej Rosji. Wszystko zaczęło się od rosyjskiej „gorączki czarnego złota” z drugiej połowy XIX wieku. Na mocy decyzji carskiego rządu przedsiębior-

cy mogli nabywać na własność roponośne pola. Wielu z nich zakładało spółki naftowe i dorabiało się gigantycznych majątków, wkrótce stając się nową klasą tzw. „baronów naftowych”. Na wieść o olbrzymich fortunach i perspektywach wielkich zarobków do Baku Ignęli ludzie żądni bogactwa oraz rozmaici specjaliści z przeróżnych dziedzin. Wśród nich byli m.in. architekci (również polscy), którzy na zlecenie milionerów projektowali majestatyczne gmachy, realizując nowe idee, rozwiązania konstrukcyjne i architektoniczne trendy. Nie przez przypadek wśród eleganckich budynków w centrum azerskiej stolicy znajdujemy wiele pałaców i rezydencji dawnych „magnatów naftowych”.

Trzeba przyznać, że dzięki ropie i działalności „nafciarzy” Baku przeżywało intensywny rozwój, być może porównywalny z tym, co jeszcze kilka dekad temu działo się (a właściwie wciąż się dzieje) w państwach Zatoki Perskiej. W drugiej połowie XIX wieku i na początku XX wieku liczba ludności miasta rosła lawinowo, szybciej nawet niż w Paryżu, Londynie czy Nowym Jorku. To m.in. te czasy opisuje Stefan Żeromski w *Przedwiośniu*. Czasy, gdy wszędzie, w zastraszającym i niekontrolowanym tempie, wyrastały nowe dzielnice i osiedla, a Baku stanowiło jedyny w swoim rodzaju ośrodek chaosu oraz fantazji. Ciekawe, że dziś Azerbejdżan jest dopiero na trzydziestym miejscu w rankingu największych producentów ropy, ale jeszcze na początku XX wieku samo Baku odpowiadało za ponad połowę całej jej światowej produkcji. Wiele z azerskich pól naftowych znajduje się na Morzu Kaspijskim, którego wody – przynajmniej te w pobliżu miasta – wyglądają jak jedna wielka mieszanina śmieci, brudu i toksycznych przemysłowych odpadów.



Baku. Panorama miasta z jednego ze wzgórz. Fot. Przemysław Kulczak©

Cóż, zamiast patrzeć w swoje oblicze odbijające się w tafli największego jeziora świata, zdecydowanie lepiej chłonąć widoki. Okolice promenady oferują jedną z najlepszych panoram miasta. Złote promienie słońca padają na jasne ściany bakijskich brył, przydając im dodatkowego blasku. Ze wsząd wzrok napotyka szklane domy o dziwacznych, futurystycznych kształtach. Jeden przypomina na przykład olbrzymi łuk w otoczeniu kilku kredek. To właśnie Crescent Bay, czyli „zatoka półksiężycy”, kompleks drapaczy chmur. A gdy spojrzymy w drugą stronę, na wzgórzu zobaczymy kolejny niekwestionowany symbol miasta. Trzy szklane wieżowce w kształcie płomieni, wysokie na około 180 metrów, noszą nazwę Flame Towers, czyli „Ogniste Wieże”. Warto podziwiać je po zapadnięciu zmroku. Wówczas zmieniające się iluminacje wysświetlane na fasadach wież, przedstawiające naprzemiennie płonący ogień i powiewającą flagę Azerbejdżanu, prezentują na tle pomarszczonej, czarnej jak ropa naftowa powierzchni Morza Kaspijskiego prawdziwy spektakl.

Spacerując ulicami miasta w ten ciepły, letni wieczór, słyszymy muzykę dobiegającą z licznych restauracji, a także plusk wody sączonej przez fontanny. Przy jednej z nich siadamy na ławeczce, kontemplujemy rzeczywistość, zachwycamy się chwilą. Potem idziemy coś zjeść. Tym razem Baku oraz jego mieszkańcy okazują się już gościnni i przyjaźni. Azerska stolica śle nam zaproszenie, na które odpowiadamy z uśmiechem na ustach.

Na pewno nie jest to zwykłe miejsce. To miejsce, które za każdym razem ma inne oblicze, zależnie od punktu widzenia, nastroju i pory dnia. Czasem przypomina elegancką europejską metropolię (Baku bywa nawet nazywane „Paryżem Wschodu”, chociaż określeniem tym zostało już ochrzczonych wiele miast), czasem zabytkową bliskowschodnią twierdzą, a czasem zaniedbaną azjatycką aglomerację. Są tu rzeczywiście nadbrzeżne gaje, woniejące kwiaty i południowe owoce z Przedwiośnia Żeromskiego. Jest wciąż nadmorska dzielnica Zych (azer. Zığ), do której dawniej wybierano się chętnie na zamiejskie wycieczki. Ponadto, są piękne pałace: te perskie i te „naftowe”. Są wyrafinowane bryły, obok których straszą zniszczone kamienice. Jest socrealistyczna architektura z epoki sowieckiej, a także średniowieczna, orientalna starówka. Są również owe nowoczesne, cudne, mityczne szklane domy, o których pisał Żeromski (choć akurat nie w kontekście Baku, a rzekomych ówczesnych polskich realiów). Jest istna mozaika kultur, mieszanina przeszłości i przyszłości, zapis całej historii miasta, jakkolwiek jest ona długa i szeroka.

W tym miejscu, „mlekiem i miodem płynącym”, jest coś magicznego. Choć ze względu na letnią porę nie mogliśmy poczuć na własnej skórze słynnego bakijskiego zimowego wiatru, wyjeżdżamy usatysfakcjonowani. Bo w Baku jest wszystko to, o czym pisano w powieściach. A nawet więcej. Tylko przejrzystego morza próżno tam dziś szukać.

*Przemysław Kulczak*

Główne źródła:

1. Stefan Żeromski, *Przedwiośnie*.
2. <https://www.azembassy.pl/polscy-architekci-w-baku/>
3. Wikipedia.

Fotografie: Przemysław Kulczak©



Bohdan Cieślak

## Krótką refleksja

### **XIX Międzynarodowy Konkurs Małej Formy Graficznej i Exlibrisu w Ostrowie Wielkopolskim 2025**

W tym krótkim tekście, który rozwinę być może w przyszłości w oparciu o inne obserwacje i konteksty plastyczne, chciałbym zawrzeć swoją syntetyczną refleksję o tym co miałem okazję zaobserwować (i oceniać) jako jeden z jurorów bardzo ważnego w skali europejskiej i światowej konkursu plastycznego, choć na razie nie chcę się odnosić konkretnie do prezentowanych prac, zwłaszcza tych nagrodzonych, wyróżnionych i pozostałych.

Mała forma graficzna, do której zalicza się również exlibris, to dziedzina twórczości gra-

fiki warsztatowej, funkcjonująca, jak się wydaje, nieco z boku względem innych bardziej „spektakularnych” form wypowiedzi plastycznej. Maksymalna wielkość odbitki graficznej określona warunkami ostrowskiego konkursu wynosiła 20 x 20 cm. Na tej niewielkiej powierzchni można skoncentrować sporo energii wizualnej, wynikającej tak z pracy nad kompozycją, jak i ze zmaganiem ściśle warsztatowymi związanymi z przygotowaniem odpowiednich matryc, ukształtowaniem rysunku itp. Jednak najważniejszy jest, jak mi się wydaje, efekt finalny tych przygotowań, czyli uzyskanie intymnej, indywidualnej i osobistej atmosfery graficznych miniatur.



Ratusz - Ostrów Wielkopolski, fot. B. Cieślak

Dla mnie kluczem do zrozumienia, często bardzo wysokiej ich jakości, jest właśnie kwestia warsztatu - czyli zagadnienia wydawałoby się, ściśle praktycznego nierzadko podważanego czy lekceważonego, niestety, na rzecz innych „użytecznych” wartości przypisywanych realizacjom plastycznym. Myślę tu o dostrzegalnej współcześnie tendencji w postaci „władzy” niektórych teoretyków czy kuratorów, próbujących narzucić swoje interpretacje, różne wydumane czasem hasła i kierunki, plastycznemu otoczeniu tak w kreacji, jak i w odbiorze, a marginalizujących kwestię autonomii osobistej wypowiedzi artysty praktyka. Czasem usiłuje się na przykład przyrównywać sztukę do nauki, aby teoretycy, zwłaszcza ci nie rozumiejący zagadnień praktycznych, mieli używanie.

Jak wyraził się kiedyś wybitny artysta sztuki konceptualnej - Jarosław Kozłowski - w jednym z wywiadów: „sztuka nie jest nauką, bo nie musi niczego udowadniać”. Skądinąd znany poznański malarz Jerzy Piotrowicz określał sztukę konceptualną jako bardzo „literacką” w pejoratywnym tego słowa znaczeniu, twierdząc, że o wiele większej wyobraźni trzeba, aby stworzyć porządnie zakomponowaną i namalowaną martwą naturę niż konceptualną instalację i nawet - jeśli można w tym poglądzie dostrzec przesadę - to może być coś na rzeczy. Jednakże na niedawnej bardzo interesującej wystawie konceptualistów w jednej z poznańskich galerii prezentowane były oprawione w ramach notatki, a właściwie swego rodzaju schematy

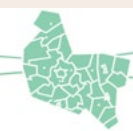
rysunkowo-tekstowe wybitnego teoretyka sztuki Jerzego Ludwińskiego. Moją uwagę zwrócił fragment zapisków, który brzmiał następująco: „Awangarda została zamazana. Sztuka uległa zabrudzeniu, najpierw ocierając się o inne dziedziny rzeczywistości, np. filozofię, etykę, logikę, politykę, potem utożsamiając się z rzeczywistością”. Mówi się przecież obecnie często o jakichś „wpływach społecznych”, ekonomicznych, tożsamościowych, równościowych itp. mających za cel scalenie sztuki z tymi ważnymi oczywiście zagadnieniami, ale czy jest to odpowiedni kierunek, w którym wolny artysta powinien podążać?

Mozolnie kształtujący małą formę graficzną twórcy mają wspaniałą możliwość uniknięcia tej zaznaczonej powyżej presji zagadnień rzeczywistości, mogących być swego rodzaju pułapką, pochłaniają się bowiem we własnym intymnym świecie nieograniczonej wyobraźni i formy niepodporządkowanej niczemu. Precyzyjne, wypracowane struktury linii, kresek, punktów i plam nasuwają refleksję i skojarzenia związane z niezwykle delikatnością, efemerycznością i nieuchwytnością opisową elementów plastycznego dzieła, uzyskanych umiejętnościami warsztatowymi. To bardzo tajemnicza sfera, którą nie sposób zracjonalizować i „użytkowo” podporządkować. Śmiem twierdzić, że teoretyczno-kuratorskie „publicystyki”, dziwaczne „interwencje kuratorskie” mogą istotnie zakłócać odbiór jej niezwykle delikatnej struktury, związanej po prostu z umiejętnościami i talentem. Lekceważenie kwestii warsztatu - szczególnie temu uwolnionemu od zasygnalizowanych wcześniej wpływów - może spowodować stopniowe zanikanie wrażliwości na odbiór samoistnego Piękna (tak, już wiem, że zaraz padną pytania o to, czym jest to „piękno”).

Kiedy zajmowałem się projektowaniem scenografii w teatrze, interesowały mnie bardzo filmy dokumentalne o tej właśnie dziedzinie. W jednym z takich dokumentów padło zdanie, które wydało mi się uniwersalne w kontekście sztuki w ogóle. Chodziło mianowicie o fragment dotyczący metody pracy w Teatrze Laboratorium Jerzego Grotowskiego: „ciężka praca nad warszatem i ćwiczenia cielesne, powtarzanie „prostych” czynności prowadziło aktorów do osiągnięcia stanów metafizyki”. Choć cytata nie jest dosłowny, a z pamięci, to myślę, że oddaje sens zagadnienia. Podczas niedawnego konkursu Chopinowskiego trudno było nie podziwiać (i zauważyć) wirtuozerii warsztatowej pianistów, która była indywidualna i oddająca jednocześnie w interpretacjach całą paletę emocji w odbiorze genialnej muzyki. Nie ukrywam, że konkurs i wystawa małych form graficznych stały się dla mnie, w tej krótkiej wypowiedzi, pretekstem do wyrażenia ogólnej, krytycznej opinii o procesach, które myślę, że nie tylko ja dostrzegam, chociaż, oczywiście, nie chciałbym generalizować. Istnieją przecież znakomici teoretycy sztuki, będący wrażliwymi odbiorcami, którzy świetnie rozumieją, że sztukę należy przede wszystkim przeżywać a nie...używać. Mam przekonanie, że uczestnicy konkursu, graficy z ponad trzydziestu krajów świata, doskonale zademonstrowali swoją twórczą wolność, a ja (i nie tylko ja) miałem wyjątkową przyjemność recepcji tych mini dzieł, między innymi, ze względu na możliwość porównania odmienności wyrazowej prezentowanych prac względem siebie.

Niech ostatecznie zdanie tego tekstu będzie zapowiedzią (być może) dalszego ciągu rozważań, w których odniosę się konkretnie do prac, które szczególnie zwróciły moją uwagę.

*Bohdan Cieślak*  
09.11.2025



## Agata Widzowska

### Arboretum

Lata świetlne rozdzieliły ich odcieniami  
 huragany podmuchem szarańcza zajadłością  
 po jednej stronie zostali wyznawcy siły  
 z niedojrzałym ziarnem rozumu  
 spragnieni chleba i pasztetu igrzysk  
 machali zielonymi łodygami do tych z naprzeciwka  
 odpowiedziano im artylerią dmuchawców  
 szwadronami gorzkich mleczy  
 dronami kwiatów  
 kobiety strzelały z podwiązek ale najbardziej tchórzliwi  
 wrzucili do rzek tabletki gwałtu

Marzanny wciąż płyną  
 wkrótce ptaki uniosą fale pod samą Wenus  
 morze zatopi lasy drewnianych chłopców  
 pokryje ich pleśnią lub zamieni w diamenty. Na dnie  
 każdy odcień będzie wyglądał tak samo  
 obie strony staną się jednym  
 arboretum

### Cień

Ziemia zjawiała się na przesłuchaniu punktualnie  
 kazali jej położyć się na czubku głowy  
 nie był to Biegun Północny i mieli problem  
 Ziemia pełna jest czubków  
 kiedy zaświecili jej w oczy lampą Słońca  
 zobaczyli kurze łapki kanionów  
 niecki po wodospadach łez blizny rzek  
 zdziwili się, że jest taka stara  
 kazali jej mówić prawdę i tylko prawdę  
 nie miała na co przysięgać bo wszystko było kłamstwem



Agata Widzowska  
 fot. Archiwum



jestem matką  
 moimi dziećmi są ludzie zwierzęta rośliny. Wszyscy  
 tak samo ważni i kochani chociaż niektórzy się wywyższają  
 poimy się i karmimy nawzajem  
 wdechy i wydechy czerpiemy z tego samego źródła  
 nie zapominamy nawet o niepozornych  
 wszyscy jesteśmy niezapominajkami  
 wojownicy i najeźdźcy zmienili się w pacyfistów  
 handlarze żywym towarem sprzedają tylko miód z własnej pasieki  
 zamknięto rzeźnie  
 kobiety przestały się bać, że zabijają je mężczyźni  
 myśliwi zostali myślicielami  
 Księżyc pochylił się nad Ziemią. Rzucił cień  
 wątpliwości



### **Koncert**

Publiczność biła brawo a wirtuozi  
 kłaniali się nisko w niewiedzy  
 przed chwilą wybrzmiwały słoniowe kły  
 zakłęte w klawiszach pianina  
 słonica już dawno odeszła w mandali krwi  
 jej głos falował echem  
 to nie skrzypków słyszano lecz zgrzyt zwierzęcych jelit  
 końskich ogonów smyczków  
 przeskakujących pięciolinie niczym mustangi w drodze  
 na bębnach wibrowała skóra jagniąt i jeleni  
 miękka lecz zimna  
 wprawiała w drżenie ciała obecnych a oni  
 łapali oddech tonąc w nieznanym wzruszeniu  
 bydlęce rogi przesywały na wylot dusze  
 przywołując na myśl dzieciństwo. Bose stopy  
 w brokacie rosy  
 nawet drewniana podłoga sceny  
 była szelestem lasów sprzed tysięcy lat  
 pieśnią korników  
 pleśnią zarodków



kiedy wszystko jest całunem  
 nie każdy może być dyrygentem

## Lgnięcia

Otwartość nie jest moim zwierzątkiem  
zakłóca osobliwą rozkosz samotności  
nie lubię z nagłego powodu przerywać tamy  
między stanem rzeczywistym a lotem ptaka  
marzenie to zmienna niedosytu w sytości  
ulotna i zmuszająca do lotu  
próba odwagi która pragnie zaistnieć  
kiedy bawię się z siostrą w sobie, wszystkimi siostrami  
kto śmie wytrącić mnie z objęć  
podróży mojej głowy do tamtej nieosiągalnej głowy  
do stacji o nazwie Ten który mnie nie kochał  
jakiż to śmiałek przyjedzie na czarnej klaczy  
zanucić pieśń mojej traumy  
pobudzić mustangi spokoju by je potem okiełznać  
opasać biodra czymś wzniosłym

dlatego stopuję lgnięcia  
otwieram się w sobie

**Agata Widzowska**, pisarka i poetka, autorka ponad trzydziestu książek dla dzieci, młodzieży i dorosłych. Niepokorna szamanka słów, wielbiicielka metafor, absurdu i osobistych skojarzeń. Lubi prowokację intelektualną.



## Leszek Pułka

### Naród

mój syty naród w bladuróżowej peruce  
 z wydętymi wargami  
 przeszczepia tłuszcz  
 z talii  
 na pośladki

naznaczony  
 sinoczarnym tuszem  
 płacząc na udach parzenice z kunsztem Maorysów  
 zdania niegdyś pełne  
 wielokrotnie złożone  
 zamyka w błazeńskich emotikonach

hipsterską część mojego narodu  
 prowadzą mieszańce  
 na elastycznych smyczach  
 w kolorach neonów  
 pobliskiego pubu

moja krępa sylwetka  
 nie mieści się w narodzie

stojąc po kostki w zimnym morzu  
 (niewiele ponad dwa stopnie Celsjusza)  
 patrzę jak filigranowe fale  
 rozmywają ojczyznę  
 niczym zamek z piasku

### Zielone światło

szczyrze poraża mnie  
 bezmiar ludzkiego cierpienia

na początku  
 bywają to rzeczy błahe



Leszek Pułka,  
 fot. Archiwum autora



szum w uszach  
obolałe płaty skóry  
blaszki miażdżycowe  
drżenie rąk

a choć znajomi w social mediach  
z uporem wklejają fotografie  
tkanek jeszcze nie obumarłych  
na tle doraźnych narzędzi ulgi  
bywa że klękam w kościele  
prosząc Boga o zielone światło  
aby przejść na stronę  
wolną od bóleści

któregoś dnia krew  
cichy oprawca  
i tak bezszelestnie zgasi  
światło źrenic i tętnic

### **Przed gmachem politechniki**

ujrzałem dwudziestolatkę  
w zielonej sukni w białe grochy

pędziła na hulajnodze  
kto wie – może ku niespełnionej miłości  
może aby w pośpiechu zdjąć potrawę  
z otwartego płomienia

zapomnienie każdemu jest właściwe

jednak w następnym wcieleniu  
nie chciałbym dodawać otuchy  
ocierać łez  
wysłuchiwać

chciałbym być dziewczyną  
o rozwianych figlarnie włosach  
w zielonej sukni

tylko po miłość  
warto się śpieszyć  
śmierć jest na to zbyt monotonna

## Ars poetica

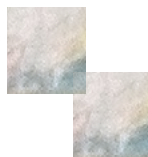
wolałbym  
żeby tsunami zalało porty literackie

żeby Nike przestała się wahać  
i zastrzegła swoje imię  
w urzędzie patentowym  
żeby Jerzy Jarniewicz zapomniał  
iż zna angielski  
i zaczął wystukiwać na bębenu  
rytm wysublimowanych  
mongolskich pieśni

wolałbym  
żeby poezja zaczęła się od nowa

zapewne nie od wojny trojańskiej  
lecz od łez Kamali Harris  
które wylała wieczorem  
przy kominku  
ocierając twarz czerwoną bejsbolówką  
z napisem make america great again

a może od nieprzekładalnego zachwytu  
nad lśniącymi skrzydłami jętki  
i od odrazy  
wobec jazgotu dronów



**Leszek Pułka** - (ur.1956), kulturoznawca, medioznawca, historyk literatury, krytyk literacki i teatralny, dziennikarz, profesor w Instytucie Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Wrocławskiego. Debiutował w 1979 roku tomikiem „Defekty fetysza” wydanym w obiegu niezależnym. W 2023 roku opublikował tom „Wieża Montaigne’a”, rok później „Osobne”.



## Michał Domagalski

\*

**Dzień dobry, chociaż** ukradli mi rower. Mężczyźni lub kobiety (chociaż na zdjęciu niby coś widać, jakby płęć), o nieznaney narodowości (ale sierżant ma swoje typy). W sumie zrobili to wcześniej, w prima aprilis. Dzisiaj dotarła do mnie ta wiadomość. I to bardzo prywatnym kanałem komunikacyjnym. W dniu, w którym gdzieś daleko od Zalasewa spadła rakietą na konwój humanitarny, ktoś postanowił ukraść rowery z hali garażowej. To jeszcze nie koniec świata, chociaż Damian Soból – pomagający dostarczyć żywność do Strefy Gazy, o czym dowiaduję się z portali społecznościowych – już w nim nie uczestniczy. Mój syn zabrał, po raz pierwszy w tym roku, do przedszkola kalosze. Będzie padać, bo od czasu do czasu pada, od czasu do czasu kradną rowery, spadają rakietki na konwoje humanitarne. Przynajmniej tak wynika z doświadczenia.

\*

Tego dnia **przeraziła go nie nowa myśl**, że nie ma anioła historii, że taka figura jest martwa, że jest wydmuszką, wielkanocnym zającem z czekolady, w którym więcej jest czekolady niż zająca. Wybieramy sobie wydarzenia, którym nadajemy większy sens. Tego dnia – opowiadał mi –



Michał Domagalski  
 fot. Archiwum autora



położył książkę z wierszami zebranymi Miłosza  
na zlewie, a kiedy skończył umył nad zlewem  
odbyt. Papier, na którym mogło zostać  
wydrukowane coś innego, na którym  
mogło nie zostać nic  
wydrukowane, znalazł się niebezpiecznie  
blisko nowego porządku, starego końca.  
Czegoś, co jak sami wierzymy, jest  
jakimś porządkiem, jest  
jakimś końcem. Pytanie  
o potrzebę  
czytania ewangelii  
po grecku<sup>1</sup> spotkało się  
z pytaniem o trwałość papieru zapisanego  
starożytną ewangelią. Nietrwałość  
naszego pomysłu  
na widzenie świata bez nas. Na marginesie  
zapisał:

*Brzydzi mnie wielkość, nawet ta mała.*

---

<sup>1</sup> To było gdzieś u Miłosza?

\*

W dniu, w którym **minęło 38 lat od kiedy  
jakiś PEN Club**  
ustanowił Międzynarodowy Dzień Pisarek  
i Pisarzy, pracownikom w Solarisie udało się  
zakończyć strajk  
sukcesem. To cieszy. Choć  
cieniem kładzie się na tej radości fakt,  
że strajk trwał aż czterdzieści dni. W dniu, w którym pracownicy  
Solarisa odnieśli sukces, czytałem z synem “91-piętrowy  
domek  
na drzewie”. Nie, nie zamiast prozy  
Dostojewskiego. Chociaż  
akurat taka wersja mogłaby zabrzmieć atrakcyjnie  
jak bojkot. Kilka dni wcześniej uświadomiłem sobie,  
że nie mogę przestać czytać  
Dostojewskiego, bo nie czytam go  
od trzeciej klasy liceum —

nie licząc cytatów rozsianych po esejach<sup>2</sup>  
 lub wierszach<sup>3</sup>. Trochę  
 żałuję, mógłbym wykonać gest  
 odrzucenia literatury, który znam  
 z literatury. W dniu, w którym czytaliśmy wieczorem  
 “91-piętrowy domek na drzewie”, rano — w drodze  
 do przedszkola — słuchaliśmy  
 piosenek Sashy Boole’a. Nie, nie zastąpił miejsca rosyjskich  
 kompozytorów. Na Spotify  
 zdarza mi się rzadziej słuchać rosyjskich kompozytorów  
 niż trzymać w rękach powieści Dostojewskiego.

W dniu, w którym

niektórzy pisarze i pisarki obchodzą swój dzień, przeczytam  
 jeszcze raz wiersze poetek<sup>4</sup>. O ile mój  
 syn zaśnie przed północą.

---

<sup>2</sup> gdzieś u Alberta Camusa

<sup>3</sup> gdzieś u Tadeusza Różewicza

<sup>4</sup> Chrystia Wenhryniuk, Ija Kiwa, Iryna Ciłyk, Kateryna Michalicyna, Lubow Jakymczuk, Oksana Łucyszyna i Olesia Mamczycz w przekładzie Anety Kamińskiej.

\*

Real Madryt zamiast bramki (w meczu  
 z Barceloną) **strzelił**  
**focha**<sup>5</sup>. Bo Vinícius Júnior nie dostał  
 Złotej Piłki. To według nich  
 niesprawiedliwe. Każdy ma swój czas  
 na obrażanie się. Nasz przypadek tego  
 samego dnia, w którym polskie  
 piłkarki pokonały rumuńskie  
 cztery do jednego. Każdy ma swoje poczucie  
 sprawiedliwości. Pokłóciłem  
 się z synem – jak zawsze –  
 o bzdurę. O jakiś porządek  
 w pokoju, w którym zalegają  
 pamiątkowe kamyki z plaży  
 w Chorwacji, patyki na zajęcia  
 plastyczne, kawałki piłeczki  
 antystresowej (*Może gdyby była*

w całości, akurat by się przydała).  
 Wszystko wymieszane z ubraniami  
 tak tymi świeżo suszonymi, jak i noszonymi. Vinicius  
 Júnior wraz z kolegami z drużyny  
 postanowili nie pojechać  
 na oficjalną imprezę przyznania Złotej  
 Piłki. Są pewni swego –  
 oni Viniciusa, on – swoich umiejętności.  
 Chciałbym, żeby mój syn  
 miał tyle pewności siebie. Czegokolwiek  
 by nie robił, chociaż na razie najchętniej  
 gra w piłkę. Życzyłbym sobie, żebyśmy  
 wszyscy to jakoś przegadali. Umieli przegadać, żebyśmy  
 częściej strzelali gole niż focha. Żebyśmy  
 grali do tej samej bramki.

---

<sup>5</sup> Pamiętam grilla, przy okazji którego moja żona opowiedziała RK (tak, temu poecie) dowcip o zupełnie innym fochu. I się roześmiał.

**Michał Domagalski**, z obowiązku ojciec, z wyboru poeta, z przekonania prozaik. Czasami esista, sporadycznie nauczyciel. Autor „Poza sezonem” (nominacja do Nagrody Poetyckiej Silesius i do Nagrody im. Kazimierzy Iłakowiczówny), „za lasem/” i zbioru esejów „Koniec jest zawsze bliski. Work in progress”. Stypendysta Marszałka Województwa Wielkopolskiego w dziedzinie kultury.





Tomasz Gruchot

**O obrotach sfer lirycznych**

(Kilka uwag o nowym zbiorze wierszy Edyty Kulczak)

Im donośniej w kolejnych epokach pobrzmiwają głosy o powszechnym zaniku artystycznej wrażliwości, tym bardziej sztuka wydaje się autoreferencyjna, niekiedy wręcz manifestacyjnie intertekstualna i nieustająco podkreślająca swą elitarność. Nawet w sposobach zawłaszczania popkultury, w pozornym z nią dialogu stawia odbiorcę w obliczu emocjonalno-intelektualnego szantażu. Albo podejmie on pełnoskalowy wysiłek interpretacyjny i estetyczne wyzwanie, albo jego styl odbioru zostanie sklasyfikowany jako zawieszony w próżni ludyczny automatyzm, nienoszący na sobie choćby śladowego piętna rytuału. Wielokrotnie już dostrzegana i definiowana powtarzalność tej sytuacji sprawia jednak, że z podobną regularnością pojawia się zarzut wtórności zarówno postaw twórczych, jak i odbiorczych, obok których łatwo dostrzec również te same mechanizmy psychologiczne sterujące schematami zachowań społecznych i zbiorową wrażliwością.

Na tym tle nowy zbiór wierszy Edyty Kulczak, *ho ho!* stanowi tyleż próbę aktualizacji formy podawczej dla oswojonego w kulturze zjawiska, co chęć ukazania jego rozlicznych konfiguracji sytuacyjnych. I choć zamysł tomu wydaje się dość klarowny, przygotowany również do poziomu popkulturowej komunikacji, to wraz z każdą Pętlą (bo tak autorka tytułuje kolejne wiersze) zagęszcza się niepokojąco sieć powiązań i asocjacji, które nadają utworom wewnętrzną dynamikę i wzmagają niepokój poznawczy odbiorcy.

\*\*\*

Oczywiście motyw pętli zarówno tej, która odwołuje się do cykliczności czy nieuchronnej repetycji, jak i tej, która dosłownie lub metaforycznie się zaciska, krępuje lub dusi, jest od lat w kulturze obecny i rozmaicie eksploatowany. Dotyczy to w równym stopniu literatury, co filozofii i psychologii, o starożytnych mitologiach nie wspominając. Czym innym będzie jednak dostrzeżenie odwołań do idei pętli u Becketta, Freuda bądź Nietzschego, a czym innym osobiste, świadome kulturowego balastu, doświadczenie.

Z tej perspektywy łatwiej dostrzec oryginalność konceptu, jakim posłużyła się w swych wierszach Edyta Kulczak. Podejmuje bowiem swoisty antycypacyjny dialog, który zapowiada, przewiduje i w jakimś sensie objaśnia przyszłe decyzje twórcze oraz postawy odbiorcze. Podmiot liryczny odpowiada tu na domniemane pytania, poprzedza je, w większości nie pozwalając im wybrzmieć, bez względu na to, kto jest w danym momencie ową drugą, milczącą stroną tej quasi-konwersacji. Świadomość doświadczenia pętli w pełni tego rodzaju zabieg usprawiedliwia, a nawet czyni zeń rodzaj przestrogi, by nie wikłać się myślowo w zagadnienia rozpoznane i kulturowo potwierdzone.

Kiedy bowiem autorka pisze, iż

*pętle tworzą się same gdy błędzisz po omacku  
w spletanych oczekiwaniach wobec wszystkiego  
(Pętla 25),*

Okładka książki *ho ho!*

jest w pełni świadoma ich nieuchronności. Rodzi się jedynie pytanie o ich istotę i zakres.

Tu w pierwszej kolejności Edyta Kulczak wskazuje na repetytywny charakter pojedynczych zachowań czy sytuacji, które – jeśli analizować je autonomicznie – nie sugerują nawet swej cykliczności; co najwyżej nieregularną i przypadkową powtarzalność. Dopiero świadomość analogii i kontekstów zdaje się wykluczać wszelką pojedynczość i burzyć nadzieję na brak uwikłania w odgórny egzystencjalny rytm. Poddane lirycznej obróbce zjawiska nie muszą, rzecz jasna, być równie wyraziste, jak ma to miejsce u przywołanego w *Pętli II* Bukowskiego, gdzie te same motywy i stylistyczne narowy krążą niezmoderowanie wokół ego autora. Przeciwnie - autor wg Edyty Kulczak zostaje poniekąd zdegradowany do roli kolejnego powtarzalnego elementu, podobnie zresztą jak dzieło. Tytułowa Pętla funkcjonuje wówczas jako kulturowa orbita, a epicentrum wszelkiego ruchu okazuje się sama możliwość powstania wiersza. Bo przecież, jak chciał Różewicz, poezja (...) żyje w poecie / pozbawiona formy i treści.

\*\*\*

Kiedy w jednym najgłośniejszych wierszy Grochowiaka śmierć bohatera lirycznego ukazana zostaje w nadzwyczaj sugestywnym obrazie:

*A ludzie chłopaka na szafot przywiedli,  
Unieśli mu głowę w muskularnej pętli.*

(Święty Szymon Słupnik),

nietrudno dojść do wniosku, że pętla ma tu przynajmniej dwojakie znaczenie. Sugeruje bowiem również powtarzalność lirycznie odmalowanego okrucieństwa. Ten efektowny i wyjątkowo silny przekaz pozostaje wszakże z konieczności wyraźnym semantycznym uproszczeniem, jako że możliwości łączenia obu znaczeń i wszelkich ich odcieni jest oczywiście nieporównanie więcej.

W *ho ho!* pojawia się zatem propozycja zgoła inna - subtelnie wprowadzona sugestia koncentryczności. Poszczególne Pętle podlegają tu bowiem swoistej gradacji. Jedne, tworzą ciasną orbitę, która nie poddaje się w swej prostocie i jednoznaczności nawet najbardziej wyrafinowanym poetyckim zabiegom:

*czasem napiszesz wiersz na przykład o miłości  
potem ci wstyd że po tylu latach piszesz jeszcze  
wiersze o miłości i zmieniasz dopisujesz  
filozoficzne sztuczki że niby jesteś mądrzejsza*

(Pętla 24).

Kolejne pętle-orbity zaciskają się już według zasady opisanej po części w *Pętli 6*:

*Wiążesz na szyjach pętle*

(...)

*Zakładasz na swoją jedną po drugiej.*

Spasowane ciasno, niczym słoje w pniach wiekowych drzew, przyrastają, ale nie podlegają anihilacji. Coraz bardziej oddalają się od rdzenia, a jednocześnie coraz grubszą warstwą oddzielają go od doświadczalnej codzienności. I oczywiście cały ten proces powtarza się wielokrotnie według zegara natury, który podporządkowuje sobie kulturowe schematy.

Artysta może się, rzecz jasna, oszukiwać, tworzyć zagadkowe symbole, stawiać się w roli demiurga - twórcy orbitalnego ruchu znaczeń, który trzyma świat w zaciśniętej pętli sensów. Rzeczywistość prędzej czy później weryfikuje jednak takie uzurpacje, a sam twórca rezygnuje z roli stwórcy i powraca do mimetycznych obowiązków wobec natury.

*bo imię jego było 40 i 4 a zmarł gdy miał 30 i 3*

*a pętla 44 jest na pewno znacząca i czekasz sama*

*o czym w niej napiszesz więc zdajesz się na los*

(Pętla 24).

\*\*\*

Nowy tom Edyty Kulczak to wszakże nie tylko świadectwo intelektualnego zmagania artysty z jego własnym twórczym potencjałem i próbą pogodzenia się z piętnem powtarzalności, jakim naznaczony jest dziś każdy gest kreacyjny. To również intelektualna i estetyczna gra, do której odbiorca zapraszany jest wprost, co oznacza, że musi owo zaproszenie przyjąć lub odrzucić, bowiem nie sposób udawać, że się go nie dostrzega. Autorka bez wątpienia wiele ryzykuje, formułując w obrębie tomu niemal podręcznikowej proweniencji zadania poetyckie dla czytelnika. W przypadku poetów niedoświadczonych czy debiutujących, można by taki zabieg uznać za infantylny i zaprawiony tanim dydaktyzmem. Charakter zawartych w zbiorze wierszy, ich spójność i erudycyjne zaplecze każą jednak te podejrzenia odrzucić i zupełnie serio zbadać celowość tak jawnej prowokacji.

Pierwszą myślą będzie prawdopodobnie przekonanie, że autorka zastawiła na odbiorcę inteligentną pułapkę. Ten bowiem, podejmując wyzwanie, szybko przekona się, że sam wpadł w pętlę i to najpewniej wielokrotną. Jeśli natomiast propozycję odrzuci, zorientuje się równie łatwo, że jego postawa jest tak samo powtarzalna i kulturowo zapętłona jak próba sprostania poetyckim zadaniom.

Rzecz komplikuje się jednak dodatkowo w momencie, gdy równoległe z liryczną zawartością i sugestiami dla czytelników analizie poddana zostanie graficzna strona tomu. Odpowiada za nią (i to w pełnym zakresie autorskiej odpowiedzialności) Witold Zakrzewski. Okazuje się, że ilustracje jako znaki ikoniczne stanowią tu kolejną warstwę semantyczną, równie intertekstualną i erudycyjną co przekaz słowny. W ten sposób pojawia się sugestia kolejnego zapętlenia, tym razem na poziomie międzyludzkiej komunikacji, która, spadając z wyżyn językowego wyrafinowania, powraca do nasyconego znaczeniowo obrazu. Taka konstatacja może z kolei ośmielić adresata poetyckich zadań do ich intersemiotycznej realizacji, a w konsekwencji do rozbudzenia nadziei na wyrwanie się z pętli twórczej repetycji. To naturalnie nadzieja całkowicie złudna, ale niewątpliwie inspirująca i prowokująca oczekiwa-

ny intelektualny ferment, tak niezbędny w aktywnym kontakcie ze sztuką.

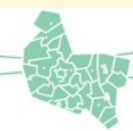
\*\*\*

ho ho! stanowi niewątpliwie ciekawą propozycję, która poszerza pola codziennej praktyki poetyckiej. Wskazuje przy tym ścieżkę wyraźnie inną niż w przypadku liryki figuralnej czy tzw. poezji konkretnej. To zbiór, który roboczo nazwać można by multisemantycznym, gdzie znaczeniowy porządek uzyskuje się w tym świecie dzięki figurze pętli, która gwarantuje stabilną liryczną orbitę, a dzięki koncentrycznemu układowi również myślową spoistość.

*Tomasz Gruchot*

Edyta Kulczak, ho ho!, Wydawnictwo Miejskie Poznania, Poznań 2025.

Asocjacje graficzne: Witold Zakrzewski.





*Ilustracja: Orbitowanie, Witold Zakrzewski*

Danuta Zasada

## Szlakiem niszowych literatur Europy

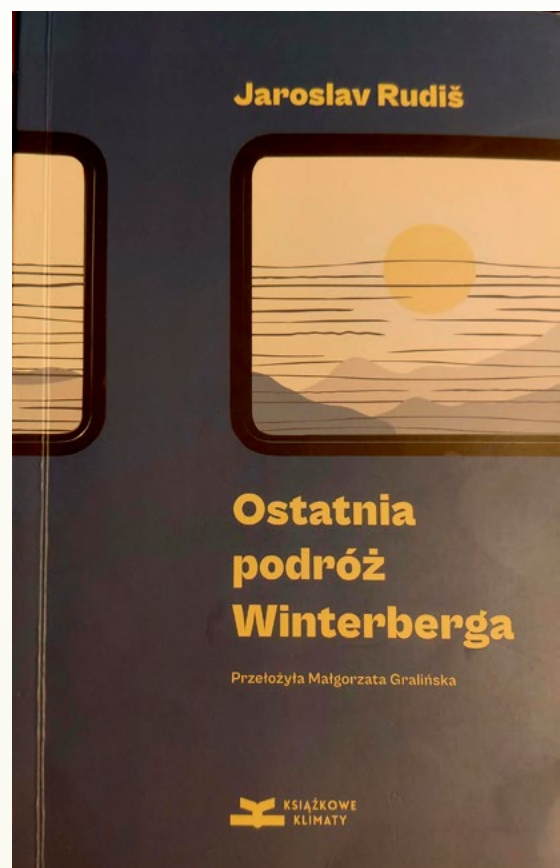
Recenzja powieści Jaroslava Rudiša *Ostatnia podróż Winterberga*

Do pisarstwa czeskiego twórcy Jaroslava Rudiša dotarłam drogą okrężną. I nie chodzi tu bynajmniej o rozgałęziające i splatające się bez końca tory kolei żelaznych, jakimi podróżują bohaterowie jego napisanej po niemiecku książki pt. *Ostatnia podróż Winterberga*. Jeśli ktoś w Polsce myśli - Czechy, to w świadomości ukazuje mu się obraz Pragi – stolicy naszego sąsiada. Nic więcej. Może jeszcze niektórym przemknie przez myśl Cieszyn, miasto na granicy, z lewobrzeżnym Czeskim Cieszynem i prawobrzeżnym, polskim miastem Cieszyn. Kiedy jednak opuści się te powszechnie przemierzane ścieżki i zajrzy w głąb Czech, ukazuje nam się kraj pełen wspaniałych zamków i pałaców niemal nie odbiegających okazałością od wiedeńskiego Schönbrunn, który miałam okazję zwiedzić dzięki koleżance - krakowiance osiadłej w Austrii.

Latem 2025 roku moja podróż przez Czechy objęła położone w kraju południowomorawskim, przy granicy z Austrią Lednice, Valtice, oraz Brzeclaw, a także zamek Buchlov w Morawach Wschodnich. Wspominam o tej podróży przy okazji recenzowania książki Rudiša, gdyż tak jak jego dziewięćdziesięciodziewięcioletni bohater Winterberg, zaczęłam patrzeć na swoją podróż „przez pryzmat historii”. Nie ma znaczenia, że stało się to dopiero po powrocie do Polski. Podróż ta doprowadziła mnie do tak egzotycznej dla czytelnika polskiego dziedziny, jaką jest współczesna literatura czeska. Bardziej oczytani wypomną mi, że przecież znają *Przygody dobrego wojaka Szwejka*, *Proces* Kafki, *Nieznośną lekkość bytu* Kundery, co przytomniejsi uważają, że był niejaki Jaroslav Seifert.

Czy jednak ktoś potrafiłby wymienić kilku czeskich autorów urodzonych w latach 1970. i obecnie aktywnych twórczo? Moja ciekawość skłoniła mnie do zajrzenia na stronę internetową wydawnictwa Czeskie Klimaty, a tam spośród wielu możliwości wybrałam Jaroslava Rudiša i jego *Ostatnią podróż*, trochę ze względu na zamiłowanie do podróży kolejną, lecz bardziej dlatego, iż książka ta wydawała się być zarówno oryginalnym przewodnikiem po historii Monarchii Austro-Węgierskiej, jak i po tym, co zostało z owej monarchii do dzisiaj.

Jest takie pojęcie w czeskiej kulturze jak *cestopis* – od staroczeskiego *cěsta*, czyli podróż. Pod koniec szesnastego wieku opisy podróży, czyli *cestopisy* były, jak podaje Zofia Tarajło w *Historii literatury czeskiej* (Wrocław 2010) typem popularnej lektury na terenach Korony Czeskiej. Drukowano je po czesku i niemiecku. Relacja z podróży, jakiej dostarcza nam Rudiš stanowi najbardziej oczywistą, narzucającą się czytelnikowi warstwę powieści.



Ostatnia podróż Winterberga,  
 Projekt okładki: Wojtek Świerdzewski.



Pałac Lednice. Fot. Danuta Zasada©

Relacja ta jest zarazem swoistym palimpsestem – podróż obydwu bohaterów książki odbywa się bowiem w dwóch czasach – współczesnym i tym z okresu Austro-Węgier. Bedeker z 1913 roku, który bez przerwy cytuje Winterberg, służy szczegółowemu odwzorowaniu przebiegu tras kolei, założeń urbanistycznych miast, planów budowli oraz wydarzeń historycznych związanych z odwiedzanymi przez bohaterów miejscami. Współczesność zaś razi swoją trywialnością, upadkiem estetyki (dworce kolejowe – „mysie nory ze szkła i stali”), nowoczesnością (szybkie, bezdźwięcznie jadące pociągi), co, jak uważa Winterberg, nie ma nic wspólnego z dawnym, wspaniałym światem opisywanym w bedekerze. Ciągłe napięcie między wczoraj i dziś wzmacniane zostaje za pomocą często stosowanej przez autora enumeracji (*Za dużo Königgrätz. Za dużo lasu. Za dużo śniegu. Za dużo Cornus sanguinea. Za dużo krwistoczerwonego derenia świdwy. Za dużo wojny. Za dużo zwłok. Za dużo duchów. Za dużo mogił. Za dużo żołnierzy. Za dużo Benedeka. Za dużo Saksończyków. Za dużo Prusaków. Za dużo Austriaków. Za dużo kolei żelaznej.*). Wyliczanki te nadają rytm powieści i przywodzą na myśl jazdę pociągiem. Czytelnik zadaje sobie pytanie, dokąd i w jakim celu podróżuje dziwna para bohaterów: cierpiący na „ataki historii”, mający tyle lat, co Republika Czechosłowacji niemieckojęzyczny Wenzel Winterberg i jego o niemal pół wieku młodszy opiekun, czeskojęzyczny Jan Kraus, którego praca polega na zajmowaniu się ludźmi w stanie terminalnym i „przeprowadzaniem ich na drugą stronę”. Jesteśmy świadkami, jak niemal martwy już Winterberg ożywa pod wpływem zdania wypowiedzianego przy jego łożu śmierci przez wynajętego przez córkę staruszka Krausa: *Pana nazwisko brzmi Winterberg, a ja pochodzę z Winterbergu, z Vimperku w Czechach.* Zdanie to staje się zapowiedzią niemiecko-czeskich zawłości tożsamościowych, jakie muszą udźwignąć obaj mężczyźni. Przy czym starszy z nich „patrzy przez pryzmat historii”, odwołując się do bitwy pod Königgrätz w 1866 roku, która, jak sądzi, zaważyła na całym jego losie i na losie Europy Środkowej. Młodszy natomiast początkowo zupełnie nie patrzy przez „pryzmat historii”, chociaż i na nim wycisnęła ona swoje piętno. Mieszka i pracuje jako imigrant w Niemczech, do swojej ojczyzny – Czechosłowacji ma stosunek negatywny i najchętniej nigdy by tam nie wrócił. Ma ku temu powo-



Pałac Schonbrun w Wiedniu. Fot. DM Zasada©

dy, o czym dowiadujemy się w miarę rozwoju akcji. Kraus uświadamia sobie, iż podróżują z Winterbergiem „jak dwaj popaprańcy zniszczeni przez wojnę, historię i beznadzieję”. Ich szalona, frenetyczna wręcz podróż kończy się w miejscu, gdzie Winterberg znajduje pojednanie ze swoim losem, po niemieckiej stronie granicy na wyspie Usedom. Tuż przed zakończeniem podróży bohaterowie przechodzą na „ty”. Winterberg mówi, iż ma na imię Wentzel *na cześć Świętego Waclawa, patrona Czech, który łączy nas i jednoczy, tak jak topielec Nepomucen, knedle, piwo czy Weltawa, nieważne, czy mówimy po czesku, czy po niemiecku, (...) Święty Waclaw, który usiłował pojednać Czechów z Niemcami i pragnął uniknąć wojny, zginął z ręki brata Bolesława dwudziestego ósmego września dziewięćset dwudziestego dziewiątego (...)*

Brzeclaw, Zamek. Fot. Danuta Zasada.



roku, bratobójstwo stanowi początek wszystkich naszych katastrof, tak, tak, drogi Janie (...).

Powieść koncentruje się przede wszystkim na historii Austro-Węgier i Republiki Czesosłowackiej (od 1918 do około 2018 roku). Możemy jednak odnaleźć tutaj przesłanie ponadczasowe i ponad narodowe, a mianowicie wskazanie, iż wojny niszczą ludzi i miejsca (*Cała Europa to jedna wilgotna, głęboka mogiła. Jednak nie tak głęboka. Zmarli chcą wrócić*). Zostaje tylko *piękny pejzaż pól bitewnych, cmentarzy i ruin* - według słów tajemniczego przyjaciela Winterberga, Anglika, pilota w Royal Air Force, który po wojnie odwiedza zbombardowane przez siebie w czasie II wojny miejsca, żeby zrozumieć, dlaczego *Niemcy połączyli ze sobą dworce i krematoria* (czyli spopielnarnie, jak nazywa je Winterberg) *i zamienili Europę w jedną wielką płonącą spopielnarnię*. Ponad dziewięćdziesięcioletni bohater powieści, sudecki Niemiec, podsumowuje: *żyjemy nadzieję, że można gdzieś uciec, skryć się przed historią, ale to niemożliwe. I tak wszyscy toniemy stając się częścią „the beautiful landscape of battlefields, cemeteries and ruins* (pięknego pejzażu pól bitewnych, cmentarzy i ruin).

Jest również w książce splatający się z historią przez wielkie H! wątek osobisty obu mężczyzn, co dodatkowo uprawdopodobnia ich szaloną wędrówkę i czyni pojednanie każdego z nich ze sobą i z przeżywaną historią uzasadnione psychologicznie. Rudiš po mistrzowsku prowadzi nas przez kolejne etapy podróży przez Europę – od Berlina do Zagrzebia - nakłaniając do refleksji nad okrucieństwem historii, jej wpływem na współczesność i na nasze myślenie w wielu aspektach rzeczywistości. Dodatkowym walorem powieści jest to, iż można odbyć podróż Winterberga zgodnie z wytycznymi, jakimi kieruje się bohater studiując przewodnik z 1913 roku. Jak wyznaje w jednym z wywiadów Jaroslav Rudiš - czytelnicy chętnie wyruszają śladem Wenzla i Jana Krausa, żeby podobnie jak oni spojrzeć na Europę „przez pryzmat historii”.

*Ostatnia podróż Winterberga* to dobra literatura z mocnym dodatkiem faktografii. Dla wymagających czytelników.

Danuta M. Zasada

Jaroslav Rudis, *Ostatnia podróż Winterberga*, tłum. Małgorzata Gralińska, Wydawnictwo Książkowe Klimaty, Wrocław 2021.



Anna Przybylska

**Portret podwójny - recenzja tomiku poetyckiego  
 Krystyny Mikołajewskiej pt. *dwie*.**

**K**rystyna Mikołajewska – rolnik-ogrodnik z wielkopolskich łąk. Osoba o niezwyklej analitycznej ciekawości świata i potrzebie opowiadania o nim w formie poetyckiej. Jej życie nie było stąpaniem po dywanie utkanym płatkami róż. Była niespokojnym duchem. Do dziś zbiera starocie (kiedyś prowadziła nawet sklep ze starociami), interesuje ją historia starożytna. Podstawą życia uczyniła walkę z kłamstwem i nieprawością. Gdy dzieje się zło – odczuwała i odczuwa je dojmująco - jako głęboką ranę. Taka struktura osobowości poetki sprawiła, że włączała się aktywnie w różną działalność społeczną, w czasach socjalizmu także w działalność podziemną. I pisała od wczesnych dziecięcych lat. Poetyckie wyznania chowała w przepastnych szufladach domowej komody. Poezja jest dla niej formą spowiedzi. Szczegółowo odsłania swoje przeżycia, często intymne, jednakże bez dosłowności. Pozostawia mikro niedomówienia, by czytający mógł w nich odnaleźć cząstkę siebie, swoich przeżyć, o których nie śmie mówić. To specyficzny, subtelny rodzaj dialogu tchnącego delikatnością, choć czasem (!) pazurkiem. Na pytanie, kim jestem, odpowiada:

w mojej głowie  
 demony i bogowie  
 nocne hukanie sowy  
 nimfy wodne  
 dotyk ognia  
 delikatny powiew bryzy  
 łagodzący żar  
 w mojej głowie  
 goszczę czarta-aniola  
 tęsknoty  
 szalone marzenia  
 łamię normy  
 nie wiadomo  
 po co ustalone  
 Po prostu  
 jestem sobą

[*Kim jestem*, s.7.]

Wyraźnie widać niezależność ducha poetki, świadomość dwoistości anonsowanej tytułem tomiku - delikatności i waleczności. W utworach Krystyny próżno szukać wulgaryzmów zwiększających ekspresję wypowiedzi. Byłyby one bolesnym zgrzytem rozrywającym tkaninę tej kobiecej poezji, wystarczająco subtelnie ekspresyjnej i autentycznej. Autorka określa swój wiersz jako elegię. Istotnie - wgłębiwszy się w treść – możemy zauważyć, że stanowią ją utwory o tematyce poważnej, refleksyjnej, utrzymanej w tonie rozważania dotyczącego

spraw osobistych (śmierć, przemijanie, miłość).

W tomiku pt. „dwie” Krystyna definiuje siebie jako duszę pełną tkliwości z jednej strony oraz wojowniczkę o dobro, manifestującą niezgodę na kłamstwa i nikczemność - z drugiej. Zaprasza czytelnika do podróży w głąb siebie. W otulinie poetyckich wyznań, jak wspomniałam powyżej, każdy może odnaleźć mniejszą lub większą cząstkę siebie. Dwoistość rozmowy z czytelnikiem nacechowana jest wrażliwością namalowaną trafnie zwyczajnym, ciepłym, ale pięknym słowem. Słodko-gorzkie wyznania wzruszają i poruszają. Wszak każdemu zdarza się lub zdarzy, że wiatr głaszcze siwe włosy i szepcze: duszo jesteś wiecznie młoda... Któż nie chciałby takiego szeptu posłyszeć i zatrzymać... Niejedna szuflada pęcznieje od zapisanych, nieco pożółkłych kartek - podpowiada. Czy słowa tam zasnęły bez echa, czy ujęte po latach w dłonie ożyją, przemówią na nowo, wyszepczą, wykrzyczą wspomnienia i uruchomią marzenia, z których się nie wyrasta, bowiem one wrastają w nas?

Autorka pięknie definiuje pojęcie „marzenie”. Według niej to śmiałe plany, na które trzeba odwagi. A te niespełnione? - to zapewne te, na których realizację odwagi zabrakło. Odwaga jest gotowością do mierzenia się z niewiadomą. Może to być także miłość, na ogół zaskakująca swoim niespodziewanym pojawieniem się, intensywnością, wygaśnięciem. Autorka zadaje pytanie:

czy można kochać trochę  
a trochę to ile  
i komu należy się reszta?  
Czy serce to kasa  
która uczucia  
rozmienia na drobne  
wrzucane do skarbonki  
na koszty leczenia  
wyrzutów sumienia  
że nie dawało się całości  
jak szlachetnej paczki  
niosącej radość  
potrzebującym

[\*\*\*(*Czy można kochać trochę*), s.33.]

Pomoc drugiemu, współbicie z ludźmi, empatia - to niezbędne zachowania. Jenak odważnie skrada się samotność. Co zatem z samotnością będącą towarzyszką niejednego życia? Otrzymujemy podpowiedź: zaprzyjaźniam się z samotnością chociaż patrzy na mnie spode łba. Chciałoby się dodać - za chwilę może stać się codziennością. A w codzienności, czasem samotnej, trzeba nauczyć się sztuki zapominania:

Zapomniałam, że bolało,  
że ściany nasiąkały  
twoim cierpieniem.  
Zapomniałam,  
jak ze ściśniętym gardłem  
przemierzałam  
korytarze szpitala.

Zapomniałam,  
 jak lekarz o poranku  
 przekazał wieść hiobową:  
 Umarła ostatnia komórka  
 serca pani męża  
 Zapomniałam...?  
 Nie... Nie chcę pamiętać.  
 Jak inaczej  
 wyleczę połamane skrzydła?

[Zapomniałam, s.20.]

Są dni, gdy myśl uporczywa nachodzi lub ważna ucieka. Pojawia się pytanie: jestem czy dopiero będę. Poetka daje szansę czytelnikowi, by poszukał w sobie odpowiedzi. Warto też zwrócić uwagę na pełne muzycznych odniesień strofy. To muzyka dni, pełna rozmaitych rytmów. Słysząc preludia, staccata, brzmia nokturny i sonaty przez całą dobę słońce gra preludia na grzbietach fal...księżycowi zostawia sonaty.

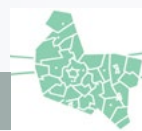
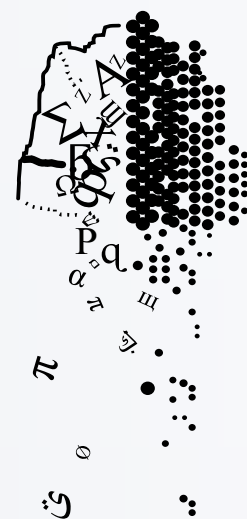
Poezja Krystyny Mikołajewskiej urzeka swoją wielobarwną paletą zapisanych emocji, przeżyć, refleksji. Ze wzruszeniem zanurzyłam się w źródlanym nurcie wierszy zawartych w tomiku pt. *dwie* i odnalazłam część siebie, różne części.

Książka jest przejrzysta edycyjnie, wiersze przybierają różne formy – haiku, liryka bez rymów, utwory bez tytułu, niektóre opatrzone tytułami. Na okładce widnieją dwie twarze nakreślone ascetyczną kreską autorstwa artysty malarza Norberta Skupniewicza: jedna zamyślona, druga spojrzeniem zdradza gotowość do działania. To dwoista bohaterka wierszy patrzy na czytelnika z okna zatopionego w intensywnym błękitcie i zaprasza do unikalnego dialogu poetyckiego.

Krystyna Mikołajewska uczestniczy w spotkaniach poetycko-literackich, prezentując swoje utwory. Prezentowała je także w „Protokole Kulturalnym”, „Rewirach”, brała udział w Biesiadach Swarzędzkich, w Salonie Poetyckim im. Jackowskich w Pobiedziskach, w spotkaniach poetyckich w Jeżyckim Centrum Kultury, Osiedlowym Domu Kultury KRAĞ, w Projekcie Fifna, realizowanym w fundacji Serdecznik.

*Anna Przybylska*

Krystyna Mikołajewska, *dwie*, Warszawa 2024.



Bogna Skrzypczak-Walkowiak

## Historię traktuję poważnie

### WYWIAD Z DONATĄ DOMINIK-STAWICKĄ

**Bogna: Naukowiec, nauczyciel, badacz literatury, poetka, scenarzystka, twórca literatury dla dzieci i dorosłych. Odnajdywałaś się w wielu rolach. Skąd ta rozpiętość tematyczna i tak różnorodne poszukiwania?**

**Donata:** Najmniej identyfikuję się z nauczycielstwem, to nie był wybór, a konieczność, wykonywany zawód dający pewną stabilizację, ale nie powołanie, mimo to miło wspominać wielu swoich uczniów z II LO w Poznaniu i III LO w Ostrowie Wielkopolskim. Z wieloma mam do dziś kontakt i jestem dumna z tego, co osiągnęli. Naukowiec – tak, to była droga, którą wybrałam już na studiach, świadomie koncentrując się na epoce romantyzmu, zwłaszcza na twórczości Juliusza Słowackiego i „nieodkrytych” jeszcze ścieżkach interpretacji jego twórczości. Owocem są artykuły i publikacje: *Romantyczne dziedzictwo Północy w twórczości Juliusza Słowackiego* (książkowa wersja doktoratu), *Król-Duch – skaldyczna opowieść Słowackiego o czasach minionych* oraz wydana w formie e-booka monografia *Jul, syn Sally*. O byciu poetką, pisarzem marzyłam niemal od dziecka, zawsze kochałam książki i chciałam być nie tylko ich czytelnikiem, ale także autorką. Niestety, intensywne prace zawodowe, sprawy rodzinne i owo nieustanne poszukiwanie własnej drogi powodowały, że nie było czasu na realizację marzeń i kończyło się na pisaniu do szuflady. Również lata siedemdziesiąte nie sprzyjały wolnemu tworzeniu. Za to pisałam artykuły – recenzje, teksty związane z szeroko pojętą kulturą i historią. Moją pasją są także teatr i film, stąd scenariusze i kolejna profesja. Rozpiętość tematyczna

moich działań wynika z tego, że słowo „humanista” traktuję jako obowiązek profesjonalizmu w zakresie szeroko pojętych nauk humanistycznych, czyli historii, historii literatury, historii sztuki, architektury, teatrologii, filozofii, umiejętności posługiwania się językami obcymi, znajomości chociaż podstaw łaciny. Nie lubiłam nigdy ograniczeń wolności – także zawodowych i tkwienia do emerytury w tym samym miejscu pracy, zawodzie i środowisku. Mam za sobą także pracę w instytucjach kultury w czasach, gdy mieszkałam w Poznaniu, przeszłość redakcyjną oraz staż w Bibliotece Kórnickiej PAN i jako hobby występy w młodości (lata 80.) w teatrze amatorskim przy Klubie im. Włodzimierza Pietrzaka w Poznaniu oraz ukończone warsztaty teatralne. Nie lubię nudy, stagnacji i „jednokierunkowości”.

**Bogna: Podkreślasz, że historię traktujesz poważnie i tak, jak wspomniałam, sięgasz po różne tematy – częściej historyczne, jednak ostatnio wyjątkowo dobrze poczułaś się w średniowieczu. Dlaczego?**



**Donata:** Poza wiekiem XIX, który jak mówię mam we krwi, moją ukochaną epoką jest średniowiecze, zwłaszcza wieki XIII, XIV i połowa XV. Wyjątkowo dobrze czuję się w tej epoce, może z miłości do romantycznego gotycyzmu, fascynacji stylem życia, obyczajami, bogatą kulturą rycerską i literaturą tamtych czasów, w której rozczytywałam się na pierwszym roku studiów. Ale muszę przyznać, że ta fascynacja wiekami średnimi zaczęła się dużo wcześniej – od zwiedzania z mamą i babcią zabytków – zamków (np. na Wawelu, w Oporowie, Malborku) i średniowiecznych kościołów, lektury dzieł Kraszewskiego oraz historycznych powieści Sigrid Undset – do dziś mojej ulubionej pisarki, od cyklu *Krzyżowcy* Zofii Kossak-Szczuckiej i lektury innych powieści osadzonych czasem akcji w epoce średniowiecza. Nigdy nie sięgałam po modne kiedyś wśród młodzieży powieści Siesickiej, których akcja rozgrywała się w czasach współczesnych, zawsze szukałam w księgarniach i na półkach bibliotek powieści historycznych, pamiętam i mam jeszcze w swoich zbiorach powieści Rączaszkowej *Jadwiga i Jagienka* oraz *Te same gwiazdy*, które dostałam od mamy w prezencie gwiazdkowym. Sięgałam także po prace znanych historyków mediewistów i pisma historyczne, w VI klasie rozczytywałam się w pracy Smolki *Mieszko Stary i jego wiek*. Słowem – zżyłam się ze średniowieczem, rozumiem ludzi tamtych czasów i ich mentalność.

Dzisiaj pracując nad powieściami historycznymi, osadzonymi akcją w średniowieczu, sięgam do materiałów źródłowych, do kronik i prac naukowych. Interesują mnie postaci z tamtych czasów – królowie, rycerze, uczeni, ale także architektura – gotyckie katedry, kościoły i to, co pozostało z królewskich i rycerskich zamków. Mam wrażenie, że rozumiem i czuję średniowiecze oraz ludzi tamtej odległej epoki.

**Bogna: *Nasz lokalny bohater, a jednocześnie rycerz na miarę powszechnie znanego Zawiszy – Bartosz z Odolanowa jest Twoim oczkiem w głowie? Dlaczego?***

**Donata:** Ponieważ Bartosz Wezenborg herbu Tur był wielkim, niepokonanym rycerzem swoich czasów, potężnym możnowładcą, starostą odolanowskim i wojewodą poznańskim, dyplomatą w służbie dwóch moim zdaniem największych naszych monarchów – Kazimierza Wielkiego i Władysława Jagiełły. Swoją rycerską i dyplomatyczną służbę oddał królestwu wielkie zasługi. Jest to poza tym wspaniała postać z krwi i kości, o barwnym, ciekawym życiorysie, a także bohater z kart *Kroniki* Janka z Czarnkowa, w której zaczytywałam się już na I roku studiów. Bartosz z Odolanowa jest wymieniany w niej jako jeden z najsłynniejszych polskich rycerzy. Wspomniany jest także we francuskiej XV-wiecznej powieści jako baron z Polski, o dwornych manierach i zwycięzca na turniejach. W literaturze pięknej pojawia się jako postać drugoplanowa w powieści Kraszewskiego *Semko*, jako rycerz z Koźmina wspomniany jest w *Krzyżakach*, chociaż Sienkiewicz myli jego herb, niewłaściwie nazywając go Nałęczem, w powieści Szajnochy *Jadwiga i Jagiełło* Bartosz jest kilka razy wspomniany. Nigdy nie był jednak głównym bohaterem, dlatego postanowiłam uczynić Bartosza tytułowym bohaterem powieści *BARTOSZ – RYCERZ WIELKIEJ POLSKI* i przedstawić, jak mogło wyglądać jego dorastanie i życie obfitujące w wiele zdarzeń: wierna służba Kazimierzowi Wielkiemu pod koniec jego panowania, konflikt zbrojny z potężnym królem Ludwikiem Węgierskim, udział w wojnie Grzymalitów z Nałęczami (oczywiście po stronie Nałęczów, z którymi był spokrewniony), działania dyplomatyczne w służbie Jagiełły. Na wybór postaci – poza fascynacją jego życiem i czasami, w których działał, miało wpływ także wspomnienie z dzieciństwa. Moja babcia często opowiadała mi legendy o rycerzu Bartoszu z Odolanowa i zamku, jaki w tym mieście zbudował. Poza tym uważam, że należy sięgać po postacie z małych ojczyzn, dbać o to, aby ich pamięć przetrwała w lokalnym środowisku. Zresztą bliski mi Odolanów ma takich barwnych postaci więcej wśród dawnych starostów.

**Bogna: *Jakie miejscowości czytelnik znajdzie na kartach cyklu o Bartoszu?***

**Donata:** Przede wszystkim jest to Wielkopolska: Odolanów, Nabyszyce, Wierzbno, Gostyń, Gniezno, Poniec, Jutrosin, Lutogńiew, dzisiejsza wioska Huta (wówczas nazywana tylko osadą nad Olszówką), Poznań, Ostrów – jako biedna wioska na bagnach, Koźmin, Koźminek, Kalisz, Ołobok, Golina i inne Bartoszone wioski, Skalmierzyce, Sławsk. Dalej Dolny Śląsk, z którym od XIII wieku związany był ród Wezenborgów, miejscowości takie jak Świdnica, Oleśnica, Sokołowo i nieistniejący już Chotl. Ważną miejscowością jest Kraków, z którym podczas służby królowi związał się nasz Bartosz, pojawiają się także książęcy Słupsk oraz Malbork – krzyżacka twierdza i zagraniczne miasta takie, jak Buda, Praga, Paryż Compostela, Konstancja.

**Bogna: Czy „saga” Wezenborgów przybliży obyczaje epoki? Jakie?**

**Donata:** Oczywiście, tło obyczajowe jest bardzo istotne dla stworzenia klimatu epoki, w taki sposób właśnie ukazując życie moich bohaterów nie tylko rycerstwa, ale i z innych warstw społecznych – chłopów i mieszczan, wspólnot zakonnych np. ołobockich mniszek i krakowskich duchaków a w II tomie środowisko uniwersyteckie. Z obyczajów tamtych czasów opisuję postrzyżyny, zapleciny – obyczaje wywiedzione jeszcze z czasów pogańskich, zaręczyny, śluby, wesela, chrzciny, obyczaj wyvodu po odbytych połogu, pasowanie na rycerza, rycerski obyczaj posiadania damy serca, turnieje rycerskie, a także obyczaje związane z kościelnymi świętami - Bożym Narodzeniem czy Wielkanocą.

**Bogna: Często podkreślasz, że odkłamujesz epokę i odzierasz ją ze stereotypów, zwłaszcza w kontekście kobiet średniowiecza. W jaki sposób to robisz?**

**Donata:** Poprzez kreację bohaterek, takich jak Anna – żona Bartosza, jego córka Stachna, ksieni Ołobocka – Małgorzata, na pół legendarna Nawojka – pierwsza polska studentka, Jadwiga Andegaweńska – król Polski i królowa trzech skandynawskich krajów – Małgorzata. Wszystko to są mocne, silne osobowości, do tego kobiety jak na owe czasy wykształcone i nauczone samodzielnego zarządzania swoimi dobrami. Królowe są przedstawione zgodnie z historycznymi przekazami, natomiast Anna i Stachna, postacie autentyczne, ale o których wiemy tak niewiele – zostały ukształtowane przeze mnie, wyposażone w cechy charakteru, które pozwalają im istnieć i aktywnie działać w męskim świecie rycerzy. Dlatego też pomysł uczynienia właśnie kobiety – Stachny, córki Bartosza, główną bohaterką powieści rycerskiej – drugiego tomu sagi Wezenborgów. Były w średniowieczu kobiety niezwykle, wspomnę chociażby Matyldę Toskańską, kobiety z dynastii ottońskiej, postaci takie jak Jadwiga Andegaweńska, Joanna d’ Arc, św. Brygida, Katarzyna ze Sienny, Maria Kliwijska – księżna Orleanu, Christine de Pisan, Hildegarda z Bingen, Radegunda – księżniczka Turynii, cesarzowa Adelajda Burgundzka. Takich postaci było dużo więcej.

Chcę także złamać nieszczęsny stereotyp o średniowieczu jako „zacofanej” epoce i pokazać, że jak mawiał prof. Witeczak: „nie ma mroków średniowiecza”. Jak może być mroczną epoka najwspanialszego ze stylów architektury – gotyku? Wspaniałych katedr, które przetrwały wieki, podczas gdy nasze bloki z wielkiej płyty już się „sypią”? Jest to epoka wielkiej filozofii, wspaniałej literatury i pierwszych w Europie uniwersytetów. A wysmiewane przez współczesnych obyczaje i mentalność ludzi z tamtych czasów? Zacytuję tu słowa profesora Tomasza Jasińskiego z *Posłowia* do mojej powieści o rycerzu Bartoszu: „epoka ta i jej bohaterowie różnią się od nas, że dawne czasy to nie nasze czasy” (s.375). Dlatego, pisząc o średniowieczu, wchodzę w rolę człowieka tamtych wieków i mój narrator przejmuje jego mentalność. Nie można ludzi minionych dawno czasów oceniać według dzisiejszych norm.

**Bogna: Które postacie, zgodnie z konwencją gatunku, istniały w naszych dziejach, które miały tylko pierwowzory, a które są stworzone przez Ciebie? Masz jakąś ulubioną?**

**Donata:** Istnieli niemal wszyscy moi bohaterowie, przede wszystkim Bartosz i inni Wezenborgowie, jego młodsi bracia Hinczka, Timo i Boto, ojciec Peregryn II, a także królowie, książęta i możni, o których mowa w kolejnych tomach np. panowie na Melsztynie Jan i jego syn Spytek II, czy wspomniani panowie z Wielkopolski jak Marcin ze Sławaska, Sędziwój Świdawa, Jarand z Grabi i Brudzewa, Janusz Sokołowski – kasztelan gnieźnieński, starosta generalny Wielkopolski – Tomek z Węgleszyna. Stworzyć natomiast musiałam postacie, o których dane są skąpe – np. Anna z Gostynia – żona Bartosza i ich córka Stachna. Postaci fikcyjne to głównie bohaterowie drugiego planu – Miłka, pierwsza największa i niezapomniana miłość Bartosza, tajemnicza zielarka – wróżbitka, druhowie Bartosza z Wierzbna w tym giermek Gniewko, Litwini Jurgis, Jonas, Milda i Gintare, zakonnik ojciec Marcin, Małgosia – malarka ikon, której przypisałam autorstwo autentycznego obrazu z XV wieku – Matki Boskiej Pocieszenia z Lutogniewa. Starłam się jednak kształtować ich tak, aby wpisali się w obyczaje epoki i uprawdopodobnić ich istnienie. Moje ulubione postaci to oczywiście rycerz Bartosz, Stachna, król Kazimierz Wielki, Każko słuński oraz zielarka z Wierzbna. Duży sentyment mam do postaci Miłki i Anny oraz bohaterów zwierzęcych psów Rexa i Duxa, koni Rocha, Lancelota i klaczy o imieniu Księżna.

**Bogna: Koloryt historyczny dzieł budują nie tylko zdarzenia i postacie, ale i język. Podaj swój przepis na stylizację historyczną.**

**Donata:** Przepis jest prosty: szyk przestawny i leksyka, na tyle jednak stosowane, aby nie zakłócić odbioru, a zachować klimat epoki. Należy uważać, żeby nie wprowadzać języka, jakim nie posługiwano się wówczas. Np. średniowieczna kobieta, czy raczej niewiasta, nie powie, że jest w ciąży, tylko: „przy nadziei”, „w stanie błogosławionym” albo że jest „brzemienna”. Dzieci nie używają w odniesieniu do rodziców współczesnych zwrotów „mama”, „tata”, tylko „pani matka”, „macierz”, „pan ojciec”. Pomaga także znajomość ówczesnej literatury. W powieściach pojawiają się także fragmenty średniowiecznych pieśni np. *Bogurodzicy* (przy pasowaniu na rycerzy, przed bitwą pod Grunwaldem w II tomie), rycerskie pieśni Bertranda de Born i Marii z Szampanii czy wiersza nadwornego poety Tomka z Węgleszyna – *Przeclawa Słoty O zachowaniu się przy stole*. One również budują klimat językowy epoki.

**Bogna: Powstały dwie części sagi, jedna z nich także w wersji dźwiękowej, ale wiem, że nie poprzestaniesz na tym. Co zatem w planach?**

**Donata:** Kończę pisanie III tomu *SYNOWIE BARTOSZA*. Ma ukazać się przed Bożym Narodzeniem, mam już zebrane materiały do powieści *PRZODKOWIE BARTOSZA*, którego akcja osadzona będzie w XIII wieku. Pojawią się w nim postaci śląskiego księcia Henryka Brodatego, księżnej Jadwigi Śląskiej i pradziada Bartosza – rycerza Peregryna I. Mam gotowe 15 odcinków scenariusza do serialu o Bartoszu. Oczywiście, byłoby dobrze przygotować wersję audio II tomu, byłoby dobrze zachować dwoistość narracji i oddać głos dwóm lektorom – np. aktorowi Andrzejowi Hausnerowi i Annie Szmani-Biniek – lektorce mojej innej powieści. Mam zamiar napisać naukową publikację – artykuł, a może nawet książkę o wojnie Grzymalitów z Nałęczami, ale to żmudna praca, wymagająca między innymi badania dostępnych, najczęściej łacińskich źródeł z epoki.

**Bogna: Jesteś bardzo aktywna, jeśli chodzi o spotkania z czytelnikami. Co najbardziej lubisz w takich wydarzeniach?**

**Donata:** Przede wszystkim lubię takie bezpośrednie spotkania i rozmowy z czytelnikami, upewniają mnie, że warto pisać, i że mam dla kogo pisać. Najczęściej pojawiają się czytelnicy 50-60+, ale także młodzież, która interesuje się historią. Muszę dodać, że najbardziej lubię wydarzenia, które

mają artystyczną oprawę i wykorzystują klimat epoki – jak np. te organizowane w Odolanowie, Koźminku i Gostyniu. Cenię także spotkania intelektualne – jak te w Muzeum Miasta Ostrowa, Muzeum Józefa Ignacego Kraszewskiego w Poznaniu i w ostrowskiej Mediatece czy w Muzeum w Lewkowie. Podczas premiery *Bartosza* gośćmi i zarazem uczestnikami promocji byli aktor Piotr Ligienza i reżyser Wojciech Pacyna, a promocję audiobooka uświetnił aktor i zarazem lektor mojej powieści Andrzej Hausner – odtwórca roli króla Kazimierza Wielkiego w drugim sezonie serialu *Korona Królów*. Miło wspominać nietypowe spotkania podczas Nocy Świętojańskiej w Odolanowie i podczas jarmarku odpustowego św. Małgorzaty w Gostyniu.

**Bogna: Życzę spełnienia marzeń i realizacji celów.**

*Bogna Skrzypczak-Walkowiak*



**Donata Dominik-Stawicka, naukowiec, pisarka, poetka, scenarzystka. Autorka wielu publikacji naukowych.**



Donata Stawicka

## WOJNA O ODOLANÓW

W dniu, gdy wojska Zygmunta podwójnym pierścieniem opasały Odolanów, Bartosz z wieży pilnie się rozglądał. Spojrzał w stronę Nabyszyc i ujrzał na niebie krwawą łunę, wiatr aż tu swąd spalenizny przynosił. Bartosz w łunę się wpatrzył i pełen bólu okrzyk z piersi mu się wyrwał:

– Nabyszyce płoną! Miłka, na ratunek trza! – Poczem z wieży pędem zbiegł, do stajni wpadł, na grzbiet Rolanda wskoczył i ku bramie pomknął, krzycząc: – Otwierać! Gniewko, drużyno, za mną!

Rozważny Hinczka drogę mu zabiegł i konia za uzdę chwycił.

– Oszalałeś? Toż jak bramę otworzysz, wróg wtargnie.

– Puszczaj – wołał Bartosz. – Nabyszyce płoną, tam Miłka.

Ci, co słuchali, myśleli, że pan w obłąd popadł. Hinczce, który z Bartoszem się szarpał, na pomoc skoczyli Timo, Boto i Gniewko. Siłą z konia go ściągnęli, a on jak szalem ogarnięty wrywał się im, Hinczkę uderzył, na Timie szaty poszarpał i ku bramie się rwał. W końcu na ziemię upadł i omdlał. Bracia zanieśli go do zamku, a świadkowie tego zdarzenia lamentowali:

– Jak sam starosta rozum postradał, co z nami będzie?

– Uspokójcie się, ludzie, toż rodowy gródek starosty płonie, Nabyszyce. Ból na moment go złamał i zaślepił, wnet do opamiętania przyjdzie. Wracać na mury, kamienie szykować, wrzątek i smołę do obrony, jakby wróg lazył – uspokajał ich wójt Mikołaj.

Bartosz, gdy mu przytomność wróciła, znów do Nabyszyc się wrywał, aż go w końcu bracia spętać musieli i ojca Marcina zawołali. Mądry zakonnik jeno na Bartosza spojrział i orzekł, że szoku doznał, minie to, trza mu tylko coś dać na sen i uspokojenie, a gdy dłoń na jego czole położył, uczył, że rozpalone jest, musi ciepłoty wielkiej dostał. Ze skrzyneczki z lekami ma-lutką flaszeczkę wyjął i parę kropel na szmatkę nalał, położył ją na nosie Bartosza, który po chwili w sen zapadł.

– Zanieście go do łoża i rozwiążcie, ja przy nim posiedzę, a wy idźcie na mury! – nakazał Marcin.

Hinczce, na którego twarzy po starciu z Bartoszem siniec się rozlał, dał balsam z arniki, żeby ból i obrzęk złagodzić. Po kilku godzinach Bartosz zbudził się, oprzytomniał. Spojrzał w okno, za którym widne było wieczorne niebo i łuna pożaru.

– Miłka – wyszeptał.

– Miłce nic już spokoju nie zakłóci. Wodzem jesteś, nie popadaj w rozpacz. Toż życie Odolanowa mieszkańców od obrony miasta zależy, od ciebie, ich starosty. Opanuj się, chłopcze – mówił nie jak do rycerza, a do chłopca, którego ongiś nauczał.

Bartosz z łoża się podniósł, giermka przywołał, by pancerz i miecz mu podał. Spokojny już na mury poszedł. Braci zoczył na nich się uwijających i wydających rozkazy. Nic nie mówiąc,

dłonie im uściśnął, dziękując, a gdy na twarzy Hinczki opuchliznę dostrzegł, rzekł krótko:

– Wybacz, bracie!

– Nic to, dobrze, że rozum ci wrócił – uspokoił go Hinczka.

Obleżenie trwało, Bartoszowi ludzie stawali dzielnie w obronie Odolanowa, a mury zamku okazały się mocne i odporne na wyrzucane z bombard kamienie. Bartosza wszędy było pełno, na murach ciągle była widoczna wyniosła postać w czarnym pancerzu i rozwianym czarnym płaszczu. Ileż to strzał z kuszy na rozkaz Zygmunta i Domarata było ku niemu słanych, żadna jednak celu nie dosięgła. Bartosz stojący na murach zdawał się jawnie drwić z oblegających Odolanów wojsk (...).

\*\*\*

Drużyna Bartosza zbliżała się do Nabyszyc. Za chwilę – dumął Bartosz – ujrzą czatownię i drewnianą palisadę gródka, już powinna być widna. Lecz co to? – przetarł oczy, bo nie było czatowni, nie było gródka, stare gniazdo Nałęczów pozostało jednym wielkim pogorzeli-  
 skiem, czatownia prawie do gruntu się wypaliła, mało co z niej zostało. Bartosz zsiadł z konia i zdjawszy z głowy hełm, wolno wszedł na dawny dziedziniec, a potem poszedł w stronę gro-  
 dowej kaplicy, miejsca wiecznego spoczynku kilku pokoleń Nałęczów. I tej świątynki dREW-  
 nianej wróg nie uszanował, wypalona była i w jedno rumowisko się obróciła, jeno podm-  
 rówka z polnych kamieni ostała. Zwały popiołu i wypalonych bali piętrzyły się w miejscu,  
 gdzie były groby dziada, babki i inszych Nałęczów. Gniazdo rodowe, jego umiłowane Naby-  
 szyce, świat jego lat dziecinnych – zniszczone. Osunął się na kolana i ku gródkowi spojrzął  
 – on także był jednym wielkim pogorzeli-  
 skiem, spłonęła komnatka Miłki i pamiątki najdroż-  
 sze po niej. Rozkrzyżował ramiona i upadł twarzą w popioły. Jezdni posiadali z koni, Timo  
 chciał podejść do brata, ale zatrzymał go Gniewko, mówiąc:

– Ostaw go...

Minęło tak kilka pacierzy, na dziedzińcu gromadzić się jęli chłopci z Nabyszyc i Wierzbna, widno wieść do nich dotarła, że pan wrócił. Bartosz podniósł się, twarz miał straszną, bladą, pokrytą popiołami, w które upadł, na policzkach ślady jakby łez, ale nie, to niemożliwe, wszak rycerze pono nie płaczą! Na czole miał krwawą rysę – pewnie zadrapał je o jakąś drzazgę z pogorzeli-  
 ska.

Dostrzegł chłopów, wśród nich Przemka, sołtysa z Wierzbna. Skinął na nich, ochry-  
 płym, nie swoim głosem zapytał:

– Co tu się stało?

– Bitwa była sroga. Obronilibym gródek, gdyby Węgrzy go nie podpalili. Domarat im to pono doradził, ale gdy płonąć wszystko zaczęło, ratowali się ludzie z gródka ucieczką – kobiety i dziatwa, starcy i niedorostki – to ich ludzie Luksemburczyka strzałami z kusz dobijali albo ścigali tratowali Domarata jezdni – opowiadał Przemko.

Trwogą zdjęty milczał Bartosz, w końcu zapytał:

– A Stanko?

– W mej chacie na łożu śmierci leży, dycha jeszcze, ale godziny jego policzone. Do końca gródka bronił jako i jego rycerze, wszyscy legli... Stanka, jak już Zygmunta wojska odeszli, spod ruin czatowni dobylim.

– A dzieci i żona Stanka?

– Ocaleli, udało im się umknąć. Dzieci zdrowe, żona w ramię od strzały ranna, ale już zdrowieje...

– Wielu legło?

– Wszyscy rycerze i chłopci, ci, co pożar lecieli gasić... Nie było łatwo, wojsko Domarata wieś kordonem otoczyło i do pogorzeli nikogo nie puszczało, a tych, co się przedzierałi, na miejscu ubili.

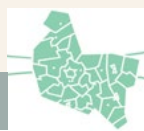
– Chryste, toć Domarat Polak, z Wielkopolski, kainowa to zbrodnia – wyszeptał Timo ze zgrozą słuchający tej opowieści.

Bartosz tylko miecz swój wyciągnął i wznosił w górę z okrzykiem:

– Pomsta!

– Gorze Grzymalitom, pomsta! – zawołali jego rycerze, wzorem pana wznosząc ku niebu miecze.

Fragment powieści Donaty Dominik-Stawickiej: *Bartosz, rycerz wielki*.



Tomasz Kruczek

## Przygody Brata Tomasza

### Prolog

**B**rat Tomasz z Zakonu św. Jana stał w drzwiach izby i patrzył na rozgrywającą się w środku scenę. W oczach mnicha widać było zdumienie i niewyobrażalną wręcz zgrozę. Przed nim na podłodze tarzało się, biło i szarpało kilkunastu małych chłopców. Nie dawano pardonu, nie brano jeńców. Wszystkie chwytaki były dozwolone. Gromada walczących podobna była do wielkiej śnieżnej kuli toczącej się to w jedną, to w drugą stronę. Z kuli tej wypadał co chwila któryś z malców, zanosząc się płaczem rozcierając przy tym zakrwawiony nos, podbite oko czy obolały koniec pleców. Pod ścianami stało kilka dziewczynek. Niektóre pochlipywały przestraszone, inne zaś zachęcały kolegów do walki, a kilka wyraźnie szykowało się do wzięcia udziału w tym pandemium. Wokół walczących unosił się tuman kurzu, fruwały strzępki odzieży i wyrwane włosy. Wrzask był nie do opisania.

- A więc bracie Tomaszu - usłyszał zza pleców krzyk kniachini

- to są te dzieciątka, o których ci opowiadałam. Postanowiliśmy z mężem, że zatroszczymy się o nie, ucząc tego, co najlepsze i najprzydatniejsze, jednakże bakałarz sprowadzony do tego celu z samego Krakowa tydzień temu zupełnie postradał zmysły. Siedzi teraz biedaczyna w loszku i za nic w świecie nie chce go opuścić. Błagał nawet, śmiejąc się i płacząc na przemian, byśmy zamurowali go w zamkowej wieży do końca życia. A taki się wydawał mądry i odpowiedzialny. Zupełnie nie wiedzieć, dlaczego dopadło go to szaleństwo.

- Ale ja wiem - wyszeptał z trwogą brat Tomasz.

- Zupełnie nie wiedzieliśmy, co robić - kniachini nadal przekrzykiwała wrzask dzieciarni - i chcieliśmy już zrezygnować z naszego pomysłu, ale siostra twoja drogi bracie Tomaszu opowiedziała nam, jak wspaniale potrafiłeś okiełznać jej dwóch synów. Jakie cuda im prawiłeś. Przyznam, że też byłam pod wrażeniem. I od razu pomyślałam, że z chęcią zgodzisz się na tę dodatkową krztynę obowiązków, wszak ostatnio nie masz ich za wiele. Dla takiego sprawnego doktora nauk wszelakich to pestka.

- Ale ja - jęknął mnich - ja nie potrafię ja nigdy...

- Och- krzyknęła kniachini - ja wiem, ja wiem, że skromność jest cnotą każdego mnicha, ale wierz mi, nikt nie posądza cię o grzech samochwalstwa, a nawet pychy! Owoce twojej pracy same świadczą o Tobie. Przecież tak wspaniale opowieści snułeś swoim siostrzeńcom. Żaden bard ani bajarz nie powstydziliby się takich historii! Masz talent!

Brat Tomasz spojrzął z ukosa na stojących za nim Sławka i Jarka, przyczynę jego wszystkich nieszczęść. Obaj chłopcy wpatrywali się w niego z ciekawością i oczekiwaniem. Mniej więcej



tak jak patrzy myśliwy, widząc z ukrycia, że zwierz zbliża się do chytrze zastawionej pułapki.  
 - I co mi z tego talentu przyszło? - jęknął zakonnik - same kłopoty. A poza tym nie mam więcej historii do opowiedzenia.

- Co ty? Na pewno znasz jeszcze sporo takich historyjek - krzyknęła kobieta i delikatnie, acz stanowczo wepchnęła mnicha do środka.

- Cisza i natychmiast przestać, bo zaraz straż z różgami zawołam - wrzasnęła takim głosem, o który trudno by było posądzić osobę tak drobną, ale widać, że czyniła to nie pierwszy raz, bo dzieci natychmiast rozpierzchły się jak stado wróbli i po chwili siedziały na ziemi, spoglądając lękliwie. Widać strażnicy z różgami już byli znani tej gromadce.

- Słuchajcie otroki - powiedziała słodko kniachini - oto wasz nowy piastun. Brat Tomasz - rycerz od św Jana. Zajmie się waszą nauką, a wy postarajcie się być grzeczni, jeśli nie chcecie dostać takiej kary, jakiej najstraszniejsi kaci nie wymyślili.

Dzieci patrzyły na brata Tomasza ze zdumieniem. Pootwierzały buzie.

- O widzisz braciszku - szepnęła kobieta - wystarczy tu odrobinę dyscypliny i wszystko będzie dobrze.

Odwróciła się na pięcie i wyszła z izby, trzaskając za sobą drzwiami. Brat Tomasz został sam, zamknięty z dziećmi. Zapadła całkowita cisza. Gdzieś tylko zza węgła dobiegł stłumiony śmiech Jarka i Sławka. Dzieci patrzyły na mnicha, a on na nie.

- Witajcie - szepnął Tomasz przez zaciśnięte gardło.

- Jesteś Krzyżakiem? - spytała jakaś dziewczynka, spoglądając na brata Tomasza zdziwiona.

- A spłądrowałeś i spaliłeś już jakąś wioskę - podchwycił chłopiec z nieukrywaną ciekawością.

- Mój ojciec nienawidzi krzyżaków - dodał drugi - powiem mu, kto nas ma uczyć, a on spierze cię na kwaśne jabłko, a później obetnie ci głowę!

Brat Tomasz wzniosł oczy ku niebu. Naprawdę myślał, że jego przygody dobiegły końca, a jednak Wiekuisty miał widać dla niego jeszcze kilka niespodzianek. Musi szybko coś wymyśleć. Coś, czym zajmie tę niesforną gromadkę. Jeśli udało się to z dziećmi jego siostry, to i może tu się uda. To byłby prawdziwy cud.



- Posłuchajcie - krzyknął donośnie, a kilkanaście młodych umorusanych twarzy zwróciło w jego stronę z zaciekawieniem. - Jeśli będziecie pilnie się uczyć i słuchać to, co mam wam do powiedzenia, to opowiem wam taką historię, że nie zapomnicie jej do końca życia, nie będziecie mogli spać.

-Prawdziwą?- Jak najprawdziwszą!

- A długą?

- Tak długą, że trzeba będzie ją podzielić na części.

- Na ile części?

- Na dwadzieścia pięć - wypali Tomasz.

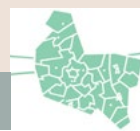
- A ile to jest dwadzieścia pięć - spytała jakaś dziewczynka.

- Boże, wspomóż - jęknął mnich.

Kiedy wychodził z izby był zmęczony jak po potyczce z oddziałem sułtana. Poszedł do siebie i ciężko opadł na ławę. Zdał sobie sprawę, że właśnie obiecał tej bandzie dwadzieścia pięć wieczorów opowieści. Stawką był spokój w czasie spotkań. I jego własna reputacja. Problem w tym, że nie miał najmniejszego pojęcia, o czym ma być ta historia. Zwinął się w kłębek na ławie i nakrył swoim starym zakonnym płaszczem, którego czerń dawno już zmieniła się w szarość. Sen przyszedł szybko. A wraz ze snem wspomnienia, które zmieniły się w opowieść. Świt zastał go przy stole. Nad kartą pergaminu z zaostrzonym piórem w ręku. Na karcie widniały pierwsze słowa opowieści:

*Roku pańskiego 966 trzech zbrojnych zjeżdżało ze wzgórza na porośniętą leszczyną półwysep. Jednak ledwo wjechali pośród leszczynowe krzewy z pobliskiej gęstwiny śmignął w ich stronę rój czerwonych strzał...*

*Tomasz Kruczek*



Ares Chadzinikolau

**KRAWIEC**

Znałem kiedyś krawca, który w suterenie odmierzał życie. Centymetr po centymetrze. Zawsze zadbany, pachnący, pogodny, o fizjonomii przypominającej nieco Humpreya Bogarta. Przesiadywał w lustrzanej piwnicy dniami i nocami. Nie lubił opuszczać pracowni, dlatego kochająca i wspierająca go matka często przynosiła mu jedzenie. Wychodził tylko kupić papierosy, gazety i do fryzjera. Miał stale włączone radio, a wieczorami nastawiał gramofon.

Miał kilka starych płyt z jazzem w kolekcji: Brubecka, Coltrane'a, Davisa, Gershwina, czy pieśniarza Harry'ego Belafonte. Uwielbiał też operę, zwłaszcza śpiew Marii Callas, której portret wisiał na jednej ze ścian w towarzystwie Sophi Loren i Joan Didion. Zawieszane były też sceny z filmu „Casablanca”, plakat musicalu „Singin' in the Rain”, pocztówki z wakacji od stałych klientów czy małe zdjęcia jego modelek i modeli. Dookoła były lustra, stół kreślarski, maszyny do szycia (Łucznik, Minerva i Pfaff), półki z balotami materiałów, kilkanaście par nożyc, chyba we wszystkich możliwych rozmiarach, poduszeczki ze szpilkami, igłami, kredy, przeróżnej wielkości guziki i setki szpul z nićmi. Na wieszakach wisiały kraciaste marynarki, koszule, nawet z żabotami, plisowane i welurowe spódnice, przyjemne w dotyku sukienki wiosenne, jesienne palta, kurtki skórzane, kolorowe krawaty, czy garnitury z lnu, a nawet kaszmiru. Miał też frak i cylinder, które zakładał na spotkania z klientami. Zniżał wtedy swój radiowy głos i zwykł do nich mawiać, że ubiór szyty na miarę definiuje człowieka i podkreśla jego charakter. Nie wystarczy więc tylko zmierzyć sylwetkę, pobrać szczegółowe wymiary, ale trzeba mieć też wyobraźnię i być do tego na bieżąco z trendami mody.

Mawiał też, że w życiu człowieka są pewne etapy, które wymagają radykalnych zmian. Jedną z nich jest zmiana stylu ubierania się, a co za tym idzie - wymiana praktycznie całej garderoby. Proces ten nie jest ani łatwy ani tani, ale jeżeli odpowiednio się do niego podejrze, to można osiągnąć zadowalające efekty. Niezależnie też od tego, w jakim wieku człowiek dojrzewa do takiej decyzji, jak przejście z luźnego, młodzieżowego na bardziej stonowany styl, to powinien kierować się zasadą podstawową, która mówi o tym, by choć w minimalnym stopniu zacząć interesować się modą, sztuką, w miarę regularnie śledzić trendy w pismach o tej tematyce, bywać na imprezach, chodzić do teatrów, do kina, oglądać wybory miss i wybierać stylizacje, które wpisują się w nasz gust, który kształtuje się przecież przez lata. Innym sposobem jest czerpanie inspiracji od znanych osób, jak aktorzy, którzy przywiązują szczególną uwagę do swojego wyglądu. Można też czytać wywiady z nimi czy biografie. Proces wypracowania w swojej głowie schematu ubierania się trwa. Do nowych stylizacji warto też dodać szale, rękawiczki, okulary, biżuterię, torebki, buty, makijaż i fryzurę. Sam krawiec, preferował styl casual, jako połączenie wygody z nutką elegancji o stonowanej kolorystyce, z dodanym czasem elementem marynistycznym. Polecał też kroje klasyczne, paryskie z pudełkowymi żakietami

i beretem czy retro z groszkami, prążkami, krótkimi sweterkami, sukienkami o trapezowej formie, czy spodniami capri. Natomiast o stylu glamour, pełnym blasku i przepychu, potrafił rozprawiać godzinami, bo nieraz wystarczyło dodać tylko jeden mocny akcent do stroju, a efekt był już widoczny.

Czasem, podczas zabaw z kolegami, poprzebierani w stylu boho, z przepaskami pełnymi piór na włosach, czy w kowbojskich frędzlach, podglądaliśmy go przez zakratowane, małe okno. Widziałem jego odbicie w szeregu luster, jak szył na którejś z maszyn, jak przecierał oczy ze zmęczenia, jak się golił, czy zaczesywał włosy grzebieniem, jak chodził zamyślony paląc pierosa i jak smutki życia wieszał na manekinie. Rozmawiał z nim najczęściej w zimne noce, czasem ubierał go ślubnie, a nawet z nim tańczył.

Podobno bał się tylko śmierci i dlatego nie przyjmował pogrzebowych zleceń. Lubił, jak nazywali go weselnym krawcem, bo ślub dla wielu, to najszcześniejszy z dni, choć poznałem i takich, dla których pogrzeby były szcześniejsze, bo przecież życie bywa przewrotne.

Intrygował mnie, a że lubiłem rozmawiać ze starszymi, to kiedyś dowiedziałem się, że od małego wciąż szkicował stroje, szył ręcznie igłą, przebierał manekin i bawił się materiałami, choć myślę, że je już dopasowywał. Był ponadto bystrym chłopcem i chciał czegoś więcej od życia, niż inni.

Kiedyś dostał zlecenie uszycia płaszcza dla pewnej pani, która straciła męża. Poprosił o rzeczy zmarłego i z ich skrawków i metek uszył piękny płaszcz, który tak się spodobał, że miał jeszcze kilka takich zamówień. Uszył też suknię balową dla burmistrzowej, bo o jego talencie było wtedy głośno. Zarabiał dobrze, a kolejki rosły. Wreszcie mógł odświeżyć ściany, oprawić lustra w ramy, wyremontować łazienkę, wymienić nieszczelne okno, dać nowe zasłony i karnisze w dwóch przebieralniach, rozłożyć nowe dywany i kupić stylową, czerwoną wersalkę z fotelikami, jak z żurnala, witrynkę do biżuterii oraz kolekcjonerską maszynę Singera, o czym od dawna marzył. Nad nowymi drzwiami z kołatką zamiast tablicy cechowej zamontował modny neon. Z radości zorganizował nawet urodziny w zakolu ulicy, na które zaprosił śpiewaków z naszej operetki z towarzyszeniem kwartetu smyczkowego. Zorganizował też konkurs na ekstrawagancką stylizację. Szył wtedy odważne stroje do spektakli teatralnych, przełamując ówczesne stereotypy. Mówili, że potrafił wchodzić w role grane przez aktorów. Umiał się cieszyć życiem.

Chodził na premiery i rauty, wracając nocami z głośnymi grupami znajomych. Uwielbiałem podglądać, gdy przychodziły do niego piękne kobiety. Mogłem podziwiać wtedy kształty piersi, bioder, nóg. W odbiciach widziałem ich gesty, zalotność twarzy, ruch ciał i krawca uśmiechającego się do ich źrenic. Najczęściej jednak znikali razem w przebieralni. Krawiec umiał szyć nawet bieliznę damską czy gorsety i to w trudnych czasach. Miał przyjaciół w Berlinie, Sztokholmie, Londynie. Odwiedzali go czasem, przywożąc cygara, branżowe czasopisma, kapelusze, rękawiczki, szale, apaszki, damskie torebki, modne buty i różne opowieści. Siedzieli wtedy do późnych godzin nocnych, rozprawiając o modzie i pachnących kobietach, sącząc dobry koniak.

Nasz krawiec, co prawda był tylko dzielnicowym krawcem, ale wiedzę i horyzonty miał szerokie. Gdyby mieszkał w Madrycie, Paryżu, Tokio czy w New Yorku, pewnie stałby się znanym i poważanym projektantem. Odmieniał za to życie mieszczan, szczególnie kobiet, które choć zabiegane między pracą, kuchnią, a sypialnią w każdą niedzielę zadziwiałały szykiem i wdziękiem, idąc do kościoła. Nadto krzewił kulturę wśród sąsiadów i dla nas dzieciaków był wyjątkowy. Podczas przymiarek puszczał swoje płyty, dyskutował o malarstwie, o filmach,

o książkach. Cenił dzieła Dickensa, Hemingwaya, Jamesa, Orwella czy felietony Joan Didion.

Cenił jej język, gust i wyrafinowane stylizacje. Sporadycznie sam też pisał krótkie felietony do pism. Czytał i pisał biegle w języku niemieckim i angielskim. Przez cały czas szlifował język francuski i włoski. Uważał, że to romantyczne języki. Zachwycił się też językiem greckim, bo brzmiał tak poetycko.

Gdy szył mi pierwszy garnitur na ważny wtedy koncert, nucąc melodię z „Carmen” Bizeta, skropił mnie perfumami i szepnął do ucha:

- Mierz wysoko, bądź elegancki, rozmawiaj z kobietami i kochaj je, a zdobędziesz świat! Dziś bym dodał, łatwo zdobyć, trudniej utrzymać.

Któregoś dnia kupił fiata mirafiori i zaczął wyjeżdżać na całe tygodnie i miesiące. Ludzie zaczęli się niepokoić, bo nie miał kto szyć nowych ubrań. Okazało się, że jeździł na Lazurowe Wybrzeże. Był w Cannes na festiwalu filmowym, by zobaczyć ulubioną Sopię Loren, stałą bywalczynię atelier Christiana Diora, którą wręcz ubóstwiał. Kiedy w jej szafie pojawiły się garnitury wysmuklające sylwetkę albo sukienki o linii A, namawiał swoje klientki, by chciały szyć i takie modele u niego. Stawiał ją za wzór elegancji i pewności kobiecej i z nieukrywaną dumą cieszył się z widocznych przemian kobiet, które przychodziły do jego pracowni, choćby tylko pokazać się w makijażu „kocie oko”. Znał niemal wszystkie ich zmartwienia i rozterki, tak dobrze, jak grane role Sopi Loren, która choć wychowana w biedzie, to spełniła amerykański sen, stając się symbolem sukcesu i ikoną silnej kobiety. Lubił też parafrazować słowa reżysera filmu „Matka i córka” Vittoria De Sica, mówiąc: „Uszyję tę sukienkę i uszyję ją dla Ciebie, bo w Ciebie wierzę”. Panie obawiały się wtedy opinii mężów, ojców, a przede wszystkim złośliwych sąsiadek. Nasz krawiec stawał się więc dla nich doradcą i orędownikiem nowego myślenia, a nawet nowego życia, w którym na pierwszym miejscu wreszcie zaczęły stawiać na siebie. Był dla nich kreatorem ich stylu, wykraczającym poza przysłowiową szafę. Wspierał je. Angażował się w ich sprawy. Raz nawet rozprawił się z damskim bokserem z sąsiedniej kamienicy. Poszedł też raz do księdza proboszcza i nakazał mu płacić choć skromne alimenty na ukrywaną córkę. Sam uszył dla niej sukienkę na komunię w prezencie. Na marcowe święto kobiet zawsze miał dla pań goździki w wazonie. Panie odwzajemniały się słodkimi konfiturami.

Czasem też mu gotowały, szczególnie wtedy, gdy jego matka się rozchorowała.

W tym okresie bywał rozdrażniony. Studiował języki, mapy i dużo pisał. Gdy matka doszła do siebie po operacji, opłacił panią do pomocy i mógł znowu wyjechać na dłużej. Pomieszkiwał i w Madrycie, Paryżu, Rzymie czy Lozannie. Podczas pobytu na targach mody w Mediolanie zakochał się w pewnej Włoszce, przypominającej do złudzenia młodą Sopię. Miała, co prawda, wpływowego i bardzo zazdrosnego męża, ale zakradał się do ich mieszkania w kobiecych przebraniach. Uciekał też czasem przez balkony. Przygodę tę prawie przypłacił życiem, ale warto było, bo pewnego dnia przywiózł ją, jako narzeczoną do naszego miasta. Po roku zaszła z nim w ciążę. Coraz rzadziej przesiadywał już w pracowni. Spacerował z nią, pogwizdując i śpiewając najczęściej piosenkę Mambo italiano. Nie wstydził się namiętnych pocałunków i trzymania się za ręce. Tańczył nawet w deszczu, idąc po zakupy w swoim kapeluszu, jak Gene Kelly. Niestety, pod koniec porodu nastąpiły komplikacje. Przyjechała karetka późno w nocy. Rano Włoszka zmarła. Dziecka też nie udało się uratować. Ponoć udusiło się zawiązaną pępowiną wokół szyi. Oczy krawca straciły wtedy blask. Przestał się uśmiechać, rozpoznawać sąsiadów. Stawał na środku ulicy i patrzył w deszcz oświetlony uliczną latarnią. Czasem krzyczał w środku nocy. Mówili, że wraz ze śmiercią pięknej Włoszki stracił rozum. Po jakimś czasie znowu rozchorowała się jego ukochana matka. Miała reemisję raka z przerzutami. Czuwał,

siedząc przy niej w szpitalu. Czytał jej książki, karmił i mył. Zmarła po kilku miesiącach.

Na ceremonii pogrzebowej pojawiły się chyba wszystkie jego dotychczasowe klientki, żeby go wesprzeć. On sam jednak nie był obecny. Zaryglował okno i drzwi atelier. Mówili, że popełnił samobójstwo. Ja myślę, że z żalu i rozpaczony pękło mu serce.

Po latach, mieszkańcy, chcąc upamiętnić krawca, który kochał życie i uczył pasji życia, każdego, kto przekroczył próg jego pracowni, zorganizowali za zakolem ulicy, na nowo powstałym skwerze festyn. Kobiety przy włoskiej muzyce pokazywały nowe stylizacje w strojnych kapeluszach, w idealnie skrojonych płaszczach, podkreślających talię, w kolorowych sukniach odsłaniających ramiona,. Były też stoiska z makijażem, używanymi książkami, czasopismami, lemoniadą i watą cukrową dla dzieci. Postawiono tam regał na używane książki. Może nasz krawiec doczeka się kiedyś nadania skwerowi jego imienia lub swojej tam ławeczki?

## TAMTA KOBIETA

jak nieuprawiana ziemia leży odłogiem.

Sama w łóżku. Pocięła nawet ręce,

bo przestała mieć już pożądliwe sny

i też te z diademem księżycy.

Noce stały się zimne i dokuczliwe.

Gdy pada deszcz, maluje zwiędłe kwiaty,

albo ptaka ze związanymi skrzydłami i dziobem.

Często siedzi przed domem

i chwieje się jak kłós bez ziarna.

Zmarszczyły się linie papilarne

przepowiadające szczęśliwą przyszłość.

Pewnie, któregoś dnia posprząta swój pokój,

uczesze bez pieszczonych włosy

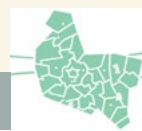
w ześniedziałym lustrze

i położy się w dębowej trumnie

jak jej zdziczała babka.

A może się mylę?

*Ares Chadzinikolau*



Zbigniew Niedźwiecki Ravicz

## WSZYSTKIEMU WINNE TE PIERDOŁY

**M**ój sąsiad to człowiek o niespotykanej grzeczności. Czasem zastanawiam się, czy wśród jego przodków nie znalazłby się przypadkiem jakiś arystokrata z czasów Ludwika XIV.

Na ulicy już z daleka uśmiecha się i pierwszy mówi „dzień dobry”. Zawsze potrafi zagać rozmowę – o pogodzie, świeżym powietrzu, sprawach codziennych czy sąsiedzkich drobiazgach. Generalnie, trudno mu cokolwiek zarzucić.

Choć mieszka niemal naprzeciwko, nigdy nie narzuca mi się wizytami. Wyjątek stanowią chwile, gdy jego żona gdzieś wyjedzie, a on, ośmielony odrobiną trunku, nabiera odwagi i puka do mnie z nowym pomysłem na powieść.

– Panie sąsiedzie! – woła już od progu. – Mam genialny temat!

Następnie, bez żadnych wstępów, z twórczym zapalem rozsiada się wygodnie na kanapie i zaczyna opowiadać, co tym razem zrodziło się w jego głowie. Chcąc nie chcąc, słucham go – bo jak tu być niegrzecznym wobec tak grzecznego człowieka?

– I co? – sonduje na koniec. – Dobrze, prawda? Nadawałoby się? – Uważnie obserwuje moją twarz, próbując wyczytać z niej choćby cień entuzjazmu.

Pamiętam, że raz poradziłem mu po przyjacielsku:

– Cóż panu stoi na przeszkodzie, żeby to napisać? Proszę usiąść, przelać pomysł na papier, a potem wysłać do wydawcy.

Wtedy spoważniał i odpowiedział mi wprost:

– Niestety, nie znam się na tych pierdołach, które nazywają się sztuką...

Mój sąsiad jest człowiekiem prostym, ale przynajmniej ma świadomość, że z tymi „pierdołami” łatwo nie będzie. Owszem, mógłby napisać książkę, a nawet ją wydać, lecz jakiś wewnętrzny głos podpowiada mu, że jeśli jego dzieło gdzieś zrobiłoby karierę, to raczej w

skupie makulatury niż na liście The Guardian Best-Selling Books. Kombinuje więc inaczej – szuka skryby, który zostałby jego współnikiem.

Jeszcze większe zdumienie budzą we mnie inni potencjalni pisarze bestsellerów, których zdarza mi się spotykać w różnych okolicznościach. Oni również są przekonani, że gwiazda ich pomyślności mogłaby w każdej chwili rozbłysnąć na bladym firmamencie literatury pięknej.

Wyróżniłbym tutaj dwa typy tych mistrzów słowa gadanego.

Pierwsi mówią:

– Też bym napisał książkę, ale nie mam czasu.

Drudzy są nieco bardziej wyrafinowani:

– W każdej chwili mógłbym napisać powieść, ale mi się nie chce.

Nie będę się tu wdawał w rozważania, czy taka powieść rzeczywiście mogłaby się powieść. Chodzi o samo zjawisko – powszechne przecież nie tylko w literaturze. Ktoś patrzy na książkę, wystawę w galerii, koncert na scenie – i myśli: „To przecież nic trudnego, ja też bym tak potrafił”. Niektórym wydaje się, że mogliby dokonać każdego cudu, gdyby tylko chcieli albo mieli czas. W sferze marzeń to całkiem możliwe – potencjalny geniusz mógłby jednym ruchem wprawić świat w oniemienie. Z napisaniem książki jednak zwleka, być może z obawy, że w konfrontacji z rzeczywistością jego wyobraźnia mogłaby dostać zadyszki.

Można się na takich ludzi zżymać – że nie mają pojęcia, o czym mówią: nie biorą pod uwagę pracy, którą trzeba w to włożyć, lat ćwiczeń, niepewności, prób i błędów. Zapominają o wszystkich tych „pierdołach”, czyli warsztacie, technice, żmudnej redakcji, cierpliwości, pokorze wobec tekstu i samego procesu twórczego. Z drugiej strony, jest w tym jakaś ludzka potrzeba marzenia, przekonanie, że świat sztuki jest „na wyciągnięcie ręki” – i czasem bywa to nawet motywujące. Może lepiej mieć marzenia niż nie mieć żadnych?

Jak na razie literatura potrafi się sama bronić. Bez tej żmudnej „pierdołowatej” pracy nad warsztatem nie ma ani dobrej książki, ani żadnych większych osiągnięć. To właśnie lata mozolnej nauki i ciągłego doskonalenia są naturalną barierą dla całej rzeszy literackich marzycieli, którym śni się cud w postaci grubych pieniędzy za księgarskie szlagiery. Te „pierdoły”, wymagające czasu, wysiłku i pokory, skutecznie oddzielają twórczą rzeczywistość od pięknych, lecz płonnych wyobrażeń o łatwej sławie.

Wydaje mi się, że niektórzy z tych niedzielnych literatów doskonale to rozumieją. Najlepiej wyraża to list, który swego czasu do amerykańskiego tygodnika Collier's napisał jeden

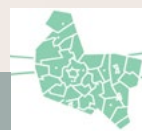
z czytelników:

„Szanowny Panie Redaktorze! Z pewnością zainteresuje Pana fakt, że zamierzałem napisać nowelkę dla Pańskiego pisma. Po namyśle jednak zrezygnowałem, ponieważ uznałem, że czytanie nowelek jest znacznie łatwiejsze niż ich pisanie.”

*Zbigniew Niedźwiecki Ravicz*



**Zbigniew Niedźwiecki Ravicz**, jako prozaik zadebiutował w 2009 roku powieścią społeczno-obyczajową „Grzech przemilczenia”, a następnie spod jego pióra wyszedł zbiór satyrycznych opowiadań pt. „Przypadki małżeńskie”. Na kanwie własnej sztuki teatralnej o Daisy von Pless w 2016 roku autor napisał pierwszy tom powieści biograficznej „Daisy. Błękitna tożsamość”, a cztery lata później drugi. W 2021 roku ukazały się „Scenki z życia we dwoje”. Ostatnią książką w jego dorobku jest trzeci tom powieści biograficznej o Daisy von Pless.



# Wielkopolski Widnokrag

PERIODYK LITERACKO - KULTURALNY



## AFOryzmy

Urszula Zybura

Należy pamiętać, że Pegaz ma nie tylko skrzydła, ale i kopyta.

Chrystus pomnożył chleb. My pomnożyliśmy głodnych.

I gałązką oliwną można wychłostać.

Scenę polityczną winno się remontować między premierami.

Kiedy pasterza zastępuje pastuch, owczarnia przemienia się w chlew.

Niektórzy wygrywają partię już podczas tasowania kart.

Pożegnalny list - brak słów.

Prawo buszu, to też prawo.

Każde NIGDY na swoje KIEDYS.

Po co rozcinać, co daje się rozwiązać?

Każdy naród jest wybrany; każdy - do czego innego.

Co najlepszego może zrobić człowiek? Być nim.

Ludzkość to także ten wredny sąsiad z naprzeciwka.

Urszula Zybura - autorka poezji, aforyzmów, haiku, afirmacji i teatraliów oraz wywiadów ze znakomitościami poezji polskiej (m.in. Tadeusz Różewicz, ksiądz Jan Twardowski, Agnieszka Osiecka i in.). Tłumacz poezji polskiej na esperanto. Wydała 23 książki.



25

Copyright Urszula Zybura. Wszelkie prawa zastrzeżone. 2023

Wydawnictwo literacko-kulturalne "Widnokrag"

Wydawnictwo literacko-kulturalne "Widnokrag"

Publikacja Projektu  
Poznań Wielkopolski Widnokrag  
i Wielkopolski Kulturystyczny Świat

Projekt Wielkopolski Kulturystyczny Świat  
zrealizowany ze środków Urzędu Marszałkowskiego



Projekt Poznań Wielkopolski Widnokrag  
zrealizowany ze środków budżetu Urzędu  
Marszałkowskiego

POZnań



Beata Bednarowska

## Wielość słów i znaczeń a środowisko życia

 Caleb Everett *Niezliczone języki*


Przez tysiąclecia ludzie próbowali zrozumieć języki, ich pochodzenie i różnorodność. Nasza mowa wpływa na to, jak się komunikujemy i jak myślimy. Na świecie żyje ponad osiem miliardów ludzi, którzy mówią ponad siedmioma tysiącami języków. Może rodzi się pytanie: Ile języków, tyle światów? Książka Caleba Everetta, amerykańskiego naukowca i badacza w dziedzinie antropologii i psychologii pt. *Niezliczone języki* ciekawie przedstawia i opisuje, w jaki sposób mowa może kształtować ludzkie myśli, emocje i zachowania. Autor większość dzieciństwa spędził w dżunglach Amazonii, z własnych obserwacji i na podstawie badań przytacza ciekawe spostrzeżenia. Pozycja koncentruje się na poznawczej i międzykulturowej różnorodności, a tym zajmują się głównie nauki kognitywne, psychologia i lingwistyka. To, co istotne dla informacji zawartych w książce, to metody pracy terenowej w lingwistyce, z uwzględnieniem uniwersaliów językowych czy badań i metod badań ludzi z zachodnich wykształconych społeczeństw. Autor repre-

zentuje bowiem pogląd, iż „badania przez pryzmat języków europejskich powodują zawężenie perspektywy.”

Istotne są powiązania zachowań językowych i niejęzykowych, a więc interdyscyplinarność i różnokierunkowość. Autor podkreśla związki między środowiskiem społeczno-kulturowym i dźwiękami, słowami oraz ich znaczeniem. Języki kształtowane są przez potrzeby społeczne i środowiskowe ich użytkowników. Istnieją języki mniej lub bardziej plastyczne. Niektóre z nich posiadają wiele słów na określone pojęcie. Przy wielości języków na świecie istotna jest świadomość różnorodności językowej. Ważne jest przy tym wykorzystywanie różnych metod badań oraz obserwacje, w jaki sposób ludzie myślą i zachowują się, kiedy mówią - czyli zrozumienie tego, jak działa język, też jego powtarzalność. Style życia pomagają rozwijać odrębne terminy dla nazywania różnych zjawisk, choćby na przykład dla nazwania kolorów i zapachów.

Na różnorodność językową wpływają między innymi takie kategorie, jak:

- czas, który w różnych kulturach może być różnie rozumiany
- nieuniwersalne koncepcje przestrzenne, np. ukształtowanie terenu
- kolory
- zmysły
- aparat głosowy
- określanie płci czy pokrewieństwa
- klasyfikacja poszczególnych części mowy

Języki dysponują odrębnymi słowami, słowa się przystosowują, a środowisko, w którym mieszkają jego użytkownicy ma wpływ na mowę - na przykład ciepłe i zimne regiony geograficzne. Dostrzega się przystosowanie słów opisujących kolory i zapachy. Badania prowadzone w różnych częściach świata pokazują, że nie wszyscy odnosimy się do czasu w perspektywie: przeszłość – teraźniejszość - przyszłość. Istnieją języki, które mają systemy dwuczasowe, a w niektórych nie ma w ogóle określenia na „czas”.

Osobliwe wydają się nam języki, w których to samo słowo w zależności od kontekstu może występować jako rzeczownik, przymiotnik lub czasownik, na przykład w niektórych językach ugrofińskich.

W języku mandaryńskim ogólnie brakuje przyrostków i przedrostków. Społeczeństwa uprzemysłowione silniej polegają na skomplikowanych koncepcjach liczbowych. W jednym z języków, używanym przez Buszmenów są tylko liczebniki „jeden”, „dwa”, „trzy” i „dużo”. Słowa określające przestrzeń również są skutkiem przystosowania, np. zamiast wyrażen „po lewej”/„po prawej” stronie odnoszą się do geocentrycznych stron świata: „na zachód”/ „wschód od” lub ukształtowania terenu, np. „, górę/ w dół rzeki lub wzniesienia”. W niektórych kulturach istnieją niezliczone podstawowe słowa na określenie form wody. W języku Lokono, używanym przez rdzennych mieszkańców Ameryki Południowej, głównie w Gujanie, jedno słowo odnosi się do wszystkich form terenu i jest modyfikowane na różne sposoby. Systemy dźwiękowe również się przystosowują.

Słowa, mowa powstają dzięki dźwiękom. Dźwięki w niektórych kulturach wydają się nam egzotyczne. W językach Azji Wschodniej, inaczej niż we współczesnych językach europejskich, o znaczeniu wyrazu może decydować wysokość tonu sylaby akcentowanej. Języki mogą różnić się między sobą również pod względem liczby samogłosek i częstotliwości ich występowania w tekście mówionym. Gama dźwięków w językach świata jest bardzo bogata, a informacje wzrokowe mają znaczenie dla (z)rozumienia słowa. Lingwistyczne badania terenowe zakładają, że gramatyki są kształtowane przede wszystkim przez czynniki uniwersalne.

Słowa onomatopieczne (dźwiękonaśladowcze) mocno różnią się między językami. Duża jest różnorodność języków mówionych i ich gramatyk. Niektóre kultury mówią na przykład językami pozbawionymi konstrukcji, w których jedno zdanie można wstawić do drugiego. Słownictwo, podobnie jak gramatyka, jest fundamentem języka. Każde słowo niesie ze sobą znacze-



nie. Często istnieją wyrażenia, które mają sens tylko w danym języku i nie mają bezpośrednio odpowiednika w drugim.

Język polski jest językiem fleksyjnym i charakteryzuje się bogactwem form gramatycznych oraz szczególnie zróżnicowanym systemem czasów. Istotną cechą jest także bogactwo słownictwa, zwłaszcza w dziedzinie słów pochodnych. Języki niemiecki i angielski są „krótszymi” językami niż język polski. Jeżeli chodzi o składnię, jest duże pole manewru, gdyż słowa można przedstawiać w różnych konfiguracjach, natomiast języki niemiecki i angielski są „sztywne”, są to tzw. języki pozycyjne.

Ta fascynująca książka uzmysławia z jednej strony różnorodność językową, wpływ języka na doświadczenia poznawcze, z drugiej – zjawisko nieustannej ewolucji języków, również ich zanikanie. UNESCO opracowało długą listę języków, tzw. Światowy Atlas Języków, też tych zagrożonych, co jest związane z utratą dziedzictwa kulturowego. Wymieranie języków trwa.

Interdyscyplinarne badania prowadzi się nieustannie.

Everett, C.: *Niezliczone języki*, Wydawnictwo Naukowe PWN SA, 2025 rok.

*Beata Bednarowska*



**Beata Bednarowska**, z wykształcenia germanistka i anglistka, absolwentka Studium Integracji Europejskiej, promotorka języka polskiego i kultury polskiej. Autorka tekstów i współinicjatorka wydarzeń o tematyce literackiej, kulturalnej i dydaktycznej. Pasjonatka dobrej książki, kina i fotografii, redaktorka „Wielkopolskiego Widnokręgu”.

„Jedyną stałą rzeczą w życiu jest zmiana”

*Heraklit z Efezu*



**Kalina Izabela Ziola poleca:**

## Pilar González España

Hiszpańska poetka, pisarka, filozofka, znawczyni cywilizacji Chin, tłumaczka dzieł klasyki literatury chińskiej na hiszpański.

### AMOR INVENTADO

estás a mi lado  
y no sueñas  
sólo se oye el mar  
y sus olas  
insistiendo a nuestros pies  
insistiendo en deshacernos  
y sin embargo estás  
y me miras de silencio  
y me acaricias con tus manos

**de AIRE**

### ZMYŚLONA MIŁOŚĆ

jesteś obok mnie  
i nie brzmisz  
słyszeć tylko morze  
i jego fale  
kładące się u naszych stóp  
nalegające, żeby się nas pozbyć  
a jednak jesteś  
i patrzysz na mnie w milczeniu  
i pieścisz mnie swoimi rękami

**POWIETRZA**



Pilar González España,  
fot. Kalina Izabela Ziola.



Pilar González España

### QUIERO DECIR

Traducción al polaco de Kalina Izabela Ziola



Pilar González España

### CHCĘ POWIEDZIEĆ

Tłumaczenie na język polski Kalina Izabela Ziola

## SOLEDAD FECUNDA

no quiero este poema  
detengo a este poema  
    lo fuerzo a morir  
    y aunque agoniza  
sigue respirando

hay palabras que pujan por nacer:  
espermas del lenguaje

¿qué palabra llegará al óvulo de mi boca?  
la palabra SOLEDAD  
    y anida

## PŁODNA SAMOTNOŚĆ

nie chcę tego wiersza  
zatrzymuję ten wiersz  
    zmuszam go do śmierci  
    i chociaż umiera  
nadal oddycha

są słowa, którym trudno zaistnieć:  
plemniki języka

jakie słowo dotrze do jajeczka moich ust?  
słowo SAMOTNOŚĆ  
    i gniazdo

*Tłumaczyła: Kalina Izabela Ziola*



## DEBIUTY

**Sara Żyła** - studentka kierunku lekarskiego Akademii Medycznej w Poznaniu, miłośniczka kawy i filmów Davida Lyncha.

### SAD

Zielonkawy płaszcz co jeździ po zębach  
Niedojrzały owoc w rękach złoczyńcy  
Parasol ma stelaż z rodzimych gałęzi  
Właśnie pod nim  
*Zaprzagnęłam wykąpać się w słońcu*

W trawie jak na targu  
Obtłuczona przez głup-  
ca, który nie wie jak obejść się z owocem  
Głupiec zasadził ten sad zupełnie pijany  
Teraz ogląda jak sieje się sam  
Z lotu ptaka o imieniu dron  
*Drzewa są mchem chronionym przez olbrzymia*  
Z perspektywy marszu mrówki JA JESTEM OLBRZYMEM  
który milczy

Dwa metry ode mnie trzaskający wodospad promieni  
Więc dlaczego tak złęczniona tulę się do pnia  
Nie poproszę mrówek o asystę  
Nie pomodłę się do wiatru

*Jestem zaklęta w cieniu jabłoni*

I tylko pod pocałunkiem  
Wypłynę na wody soczystości światła

*Sara Żyła*



Danuta Ewa Dachtera

## Dzieje pięknej Bitynki Jerzego Łojka monografia czy dzieło literackie?

Są książki, obok których nie sposób przejść obojętnie – wybitne. Zapadają w pamięć. Jedną z nich to *Dzieje pięknej Bitynki* Jerzego Łojka. Jerzy Łojek (1932-86), nieżyjący już naukowiec i historyk, pozostaje w naszej świadomości jako badacz historii politycznej Polski i Europy XVIII-XX wieku (zainteresowany szczególnie relacjami między Europą a Rosją) oraz znawca historii obyczajów. Jego wiedza jest ważna dla głębszego zrozumienia osobliwości, jaką była niebywała kariera społeczna Zofii Glavani, primo voto Wittowej, secundo voto Potockiej (1760-1822) – *pięknej Bitynki*. Można o dokonaniach Jerzego Łojka (pseudonim Leopold Jerzewski) napisać wiele; pominąć nie sposób, że zajmował się historią prasy i agresją sowiecką na Polskę w 1939 roku. Wśród jego dzieł najczęściej wymieniane są: *Geneza i obalenie Konstytucji 3 Maja*, *Agresja 17 września 1939*, *Dzieje sprawy Katynia*.

Dlaczego zatem interesują mnie właśnie *Dzieje pięknej Bitynki* – jej fenomen? Jest to oczywiście kopalnia wiedzy o bohaterce i jej otoczeniu, o obyczajowości oświecenia (przede wszystkim lat 1781–1796, kiedy Zofia Wittowa była osobą wzbudzającą powszechną uwagę), napisana w sposób atrakcyjny dla czytelnika. Ważniejsze, że pośrednio książka ta jest źródłem prawdy o nas – ludziach, dla których atrakcyjność fizyczna miała i ma ogromne znaczenie, przyczyniając się do awansu społecznego, szczególnie kobiet i jeszcze – od dłuższego czasu zastanawia mnie zagadnienie: co trafniej ukazuje prawdę o naturze ludzkiej – nauka czy literatura.

Tak, jak niezwykły awans społeczny Zofii Wittowej-Potockiej zdumiewa i zaciekawia, podobnie interesujące są fakty dotyczące sytuacji, w jakiej był on możliwy – sytuacji w Europie, Polsce i Rosji oraz uwikłanie bohaterki w relacje z możliwymi tamtych czasów – postaciami znanymi z historii oraz literatury. *Piękna Bitynka* stawała się także muzą tekstów literackich.

To nie wszystko! Ważne jest, jak książka została napisana – w jaki sposób i jakim językiem – jej literackość. Autor *Dziejów pięknej Bitynki* używa podtytułu: *Opowieść o życiu Zofii Wittowej-Potockiej*. Sam daje klucz do rozwikłania tajemnicy sukcesu czytelniczego swojego dzieła.

Czym zatem jest książka, dlaczego ma dużą wartość, skąd bierze się jej poczytność? Jerzy Łojek pisze we wstępie do *Pięknej Bitynki*: *Jest to więc poważnie pomyślana monografia o bardzo niepoważnej postaci, godnej wszelako zająć na czas jakiś uwagę czytelnika*.

Ktoś mógłby pomyśleć, że monografia napisana przez naukowca nie będzie nigdy tak interesująca literacko, atrakcyjna dla odbiorcy jak zbeletryzowana biografia. Nic bardziej mylnego. Trzymam w ręku jej wydanie IV. Nakład 30.000+330 egz. (INSTYTUT WYDAWNICZY PAX. WARSZAWA, 1982), w twardej oprawie, ilustrowane, które zapewne jak poprzednie wydania znalazło uznanie czytelnicze. Książka to niewątpliwa monografia, oparta na rzetelnych materiałach źródłowych, o których pisze autor we wstępie, zaopatrzona w przypisy

świadczące o ogromie pracy autora. Jednocześnie, pomimo rzetelności dzieła, Zofia Wittowa-Potocka pozostaje postacią nie do końca odgadniętą, wiele fragmentów i aspektów życia i działalności naszej bohaterki pozostaje nadal tajemnicą. A co do natury ludzkiej – zaciekawia ją tajemnice i angażują wyobraźnię. Jerzy Łojek zainteresował się losami dzieci Szczęsnego Potockiego, z małżeństw z Józefiną Amalią Mniszchówną oraz Zofią Wittową i użytkiem, jaki zrobili z jego majątku. Możemy przeczytać o tym w jego dziele *Potomkowie Szczęsnego dzieje fortuny Potockich z Tulczyna*. Wracając do *Dziejów pięknej Bitynki*, dzieła wartościowego pod względem naukowym – monografii, stąd wartego wznowień, lecz dlaczego tak atrakcyjnego dla czytelników? Jest to także, jak pisze sam autor *Opowieść o życiu Zofii Wittowej-Potockiej*.

Opowieść jest gatunkiem literackim, powinna zatem spełniać warunki, jakim podlega dzieło literackie. Nawet jeśli dzieje osób, czyli biografie, to literatura faktu, to przecież – literatura. Być może właśnie ważnym czynnikiem popularności *Dziejów pięknej Bitynki* jest to, iż jest ona **opowieścią**, w której ważny jest **rys biograficzny**. Skąd to przypuszczenie?

Pomocne mogą być ustalenia badaczy. Dorota Korwin-Piotrowska, w książce *Poetyka przewodnik po świecie tekstów* (2011) informuje, iż **miniony wiek XX, to czas zapotrzebowania na teksty powiązane mocno z rzeczywistością, stopniowego włączania niefikcyjnych gatunków literackich** – np. reportażu, literatury dokumentu osobistego: dzienników, listów, pamiętników, **biografii** autobiografii, wspomnień, esejów, szkiców, felietonów, tzw. literatury świadectwa – **w zakresie zainteresowania literatury** (pogrubienie moje). Obecnie, jak to ujmuje Dorota Korwin-Piotrowska z punktu widzenia związków z rzeczywistością i stopnia autentyczności danych **ostre granice literatury nie istnieją, otoczona jest ona ciągle nową, zmienną warstwą tekstów o niejednoznacznym statusie. Proces twórczy – niczym śnieżna kula – włącza bowiem w sferę literackości najrozmaitsze gatunki, zdarzenia, nazwy, doznania, style czy formy prowadzenia opowieści**. Twierdzi ona, iż **literackość to także kwestia techniczna, to znaczy umiejętności i sztuki, na którą składa się wiele czynników, w dodatku różnie w różnych epokach pojmowanych**. To niewątpliwie tłumaczy wiele. Pozwala zrozumieć fenomen popularności *Pięknej Bitynki*, książki, która odpowiadała i nadal odpowiada na zapotrzebowanie czasów – jako opowieść biograficzna i dodatkowo, z racji jej walorów literackich – umiejętności językowych i narracyjnych autora. Zapotrzebowanie na teksty powiązane mocno z rzeczywistością utrzymuje się w bieżącym stuleciu, a dzieło literackie obecnie to przede wszystkim sztuka słowa i od umiejętności literackich piszącego zależy, czy np. wspomnienia, dzienniki, biografie i autobiografie, listy, a nawet reportaże nabiorą cech literackości.

**Anna Nasiłowska** w Dwumiesięczniku Instytutu Badań Literackich PAN, w numerze zatytułowanym *Biografie*, w tekście *Porządki w bibliotece* („Teksty Drugie”, 1, 2019) pisze o warsztacie biografa: **polegający na poszukiwaniu materiałów archiwalnych i konstruowaniu z nich opowieści [...]. Poza tym autora biografii obowiązuje obiektywizm [...]. Pomimo tych wymogów adresatem biografii jest szerokie grono czytelników, przede wszystkim z uwagi na narracyjność dzieła** (pogrubienie moje). Monografia, w wydaniu Jerzego Łojka, posiadająca rys biograficzny, opiera się na materiałach archiwalnych i konstruuje z nich opowieść, a właśnie narracyjność *Pięknej Bitynki* powoduje, że trafia ona do szerokiego grona odbiorców.

Poza biografiami narracyjnymi, występują także biografie modelu kronikarskiego oraz przyczynki biograficzne (naukowe i esejistyczne), lecz to zróżnicowanie biografii nie zmienia zasady, iż **dotyczy ona postaci o znanym nazwisku** (Anna Nasiłowska, *Angielskie, francuskie i polskie tradycje biografistyki. Wprowadzenie do tematu*, w: *Teksty Drugie*, 1, 2019). Co najmniej jedno z nazwisk bohaterki było znane w Rzeczypospolitej i obecnie do rozpoznawalnych

należy – Potocka, żona postaci historycznej – Szczęsnego Potockiego.

I jest jeszcze coś, co wpływa na popularność książki – **atrakcyjność bohatera literackiego**, jego zdolność do skupiania uwagi czytelników. **W przypadku monografii i biografii** (podobnie autobiografii) ważna jest bowiem **atrakcyjność samej bohaterki i dodatkowo – postaci z nią związanych**. Zofia Wittowa-Potocka była bardzo atrakcyjna fizycznie, uznawana za najpiękniejszą kobietę Europy. Była także postacią barwną, prowadzącą intrygujący styl życia, wśród znanych z historii i literatury postaci.

Przybliżeńieco treści tej biografii, aby pokazać nie tylko zadziwiającą karierę Zofii Glavani, ale także, aby zwrócić uwagę na fakt, iż książka dotyczy w dużej mierze historii obyczajów, a ściślej obyczajowości drugiej połowy XVIII wieku. Losy bohaterki związane są z postaciami historycznymi tamtych czasów, bohaterka była osobą znaną wśród możnych Polski i Europy, a nawet stała się źródłem natchnienia poetyckiego. Stanisław Trembecki w poemacie *Zofiówka* pisał:

*Lecz te miejsca, Sofijo, więcej zdobisz sama,  
Podobniejsza niebiankom niż córkom Adama.  
Ciebie to spuścił Olimp, chcąc trudy nagrodzić,  
I chcąc takiego męża ważne troski słodzić.  
Godne są w jego domu wiek utwierdzać złoty  
Twe wdzięki, twe piękności, twe łagodne cnoty;  
A póki między rodem ludzkim raczysz gościć,  
Pół świata czcic cię będzie, drugie pół zazdrościć.*

Jerzy Łojek we wstępie do *Dziejów pięknej Bitynki* z dradza, kto był „takim mężem” nadobnej Zofii: (...) *romans, a potem małżeństwo Zofii Wittowej ze Szczęsnym Potockim, postacią najtragiczniej zapisaną w dziejach upadku Rzeczypospolitej szlacheckiej, skłaniały badaczy, zajmujących się dziejami rozkładu życia społecznego i obyczajowego szlachty i magnaterii polskiej w latach drugiego i trzeciego rozbioru, do szukania ubocznego choćby jej wpływu na stan umysłu i decyzje osławionego marszałka konfederacji targowickiej. Zachowały się wizerunki Zofii Glavani (Wittowej-Potockiej) z okresu drugiej połowy XVIII wieku, kiedy to: pięć największych dworów europejskich uznało ją za najpiękniejszą kobietę epoki Oświecenia. Przyglądając się im, można łatwiej zrozumieć niezwykłość awansu społecznego pięknej Zofii od stambulskiej, młodziutkiej faworyty Karola Boscamp-Lasopolskiego – ministra pełnomocnego polskiego króla Stanisława Augusta - do ukochanej małżonki Stanisława Szczęsnego Potockiego – magnata, dziedzica olbrzymiej fortuny w Rzeczypospolitej.*

Małżeństwo ze Stanisławem Szczęsnym Potockim było dla niej przede wszystkim osiągnięciem wysokiej pozycji społecznej. Jerzy Łojek w swojej monografii zauważa dobitnie: *Mijało właśnie dwadzieścia lat od chwili, gdy w dalekim Stambule żegnała się s płakana z Karolem Boscamp-Lasopolskim, marząc w głębi duszy, że pan minister sprowadzi ją kiedyś do nieznannej, dalekiej Polski jako swoją faworytę i wierną niewolnicę. Ile korzystnych zbiegów okoliczności, a nade wszystko, ile własnych starań trzeba było, aby z pozycji utrzymanki pana internuncjusza wznieść się do rangi pani na Tulczynie. Ślub odbył się 17/28 kwietnia 1798 roku w Tulczynie. Rzeczypospolitej od trzech lat nie było na mapach. Nie było jej także w sercach Zofii i Stanisława Szczęsnego. Panna Tulczynie okazywał uwielbienie ukochanej Zofii, budując dla niej pod Humaniempark, który nazwano Zofiówką. Pisał o nim w 1818 roku (jeszcze za życia Zofii) Julian Ursyn Niemcewicz w swoich *Podróżach historycznych*.*

Dla atrakcyjności literackiej postaci *Pięknej Bitynki* ważna jest barwność, jej nieprzecięt-

ność, lecz także zajmowana pozycja społeczna i związane z nią znajomości. Istotna jest także sfera erotyki, a atrakcyjność osobowości spleciona jest z atrakcyjnością fizyczną postaci. Dodatkowo liczy się także osoba autora. Książki **Jerzego Łojka** historyka, autora kilkuset artykułów i około dwudziestu książek, są nadal cenione przez czytelników i krytyków. Ważna jest niewątpliwie forma opowieści, atrakcyjna dla szerszego grona odbiorców. Dodatkowym walorem jest obecność w opowieści postaci historycznych powszechnie znanych Polakom, także z literatury, na czele z królem Stanisławem Augustem czy poetą Stanisławem Trembeckim, który wychwalał wdzięki bohaterki jako pani Wittowej, a później także jako Zofii Potockiej. Celowo nie streszczam dziejów Zoffi Glavani, bo po prostu warto przeczytać *Dzieje pięknej Bitynki*.

Według Adama Kulawika: *Dziełem literackim* nazywamy tekst językowy skończony, oryginalny, opatrzony tytułem będącym znakiem identyfikującym dzieło. Cechy literackości nadają mu wszystkie trzy wyznaczniki – fikcja, obrazowość, organizacja naddana tekstu - lub któryś z nich, skutkiem czego dzieło literackie przynależy do dziedziny sztuki jako sztuka słowa, sztuka opowiadania. Od innych tworów językowych odróżnia je nacechowanie estetyczne i estetyczna funkcja, a od wytworów innych sztuk –jego językowe tworzywo. To tradycyjne rozumienie pojęcia dzieło literackie... Monografia z rysem biograficznym jest natomiast *rozprawą mającą na celu wielostronne przedstawienie wybranego kręgu zagadnień*, czyli opowieści o kolejach życia. A że Jerzy Łojek czyni to, używając z sukcesem środków literackich – opowieści, literackiego języka, biegle posługuje się sztuką opowiadania, to powoduje, iż jego monografia staje się bliska literaturze faktu z niewątpliwą korzyścią dla nas czytelników.

*Dzieje pięknej Bitynki* - to książka będąca fenomenem, w której nauka i literatura, podając sobie dłonie, trafnie ukazują prawdę o istocie ludzkiej - Zofii Wittowej - Potockiej, osobach z jej otoczenia oraz obyczajowości czasów bohaterki i niewątpliwie także o nas żyjących.

## BIBLIOGRAFIA:

Jerzy Łojek, *Dzieje pięknej Bitynki*, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1982.

Jerzy Łojek, *Potomkowie Szczęsnego dzieje fortuny Potockich z Tulczyna*, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1988.

Adam Kulawik, *Zarys poetyki*, Wydawnictwo Antykwa, Kraków 2013.

Dorota Korwin-Piotrowska, *Poetyka – przewodnik po świecie tekstów*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2011.

Anna Nasiłowska, *Porządki w bibliotece; Biografie*, „Teksty Drugie”, 2019, nr 1.

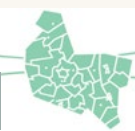
Anna Nasiłowska, *Angielskie, francuskie i polskie tradycje biografistyki. Wprowadzenie do tematu; Biografie*, „Teksty Drugie”, 2019, nr 1.

Encyklopedia PWN w trzech tomach, tom 2, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1999.

Michał Głowiński, Teresa Kostkiewiczowa, Aleksandra Okopień-Sławińska, Janusz Sławiński, *Podręczny słownik terminów literackich*, pod redakcją Janusza Sławińskiego, OPEN Wydawnictwo Naukowe i Literackie, Warszawa 2005.



**Danuta Ewa Dachtera** - urodzona w 1957 w Koszalinie. Psycholog, biolog, poetka. Pisze wiersze, recenzje, artykuły publicystyczne, eseje, autorka książek poetyckich „*Moje Macondo*”, „*Więź poza śmierć*”.



**Maria Magdalena Pocgaj**

## **Kobieta czesząca się**

Edgar Degas, francuski malarz impresjonista zasłynął z tego, że najczęściej przedstawiał na swoich obrazach tancerki i baletnice, i to nie tylko w czasie występu, ale również podczas przygotowania do wyjścia na scenę. Z upodobaniem malował też kobiety z tzw. półświatka, a więc kurtyzany czy panienki lekkich obyczajów, ukazując je w trakcie kąpieli albo tuż po niej. Intrygowało go piękno kobiecego ciała, przy czym ujmował je zawsze we wdzięcznej pozie, przywodzącej na myśl ptaka. Modelki Degasa to łabędzie, otwierające swe skrzydła, to schylone nad wodą flamingi albo szykujące się do lotu żurawie.

Ale w kolekcji mistrza jest również szereg portretów, które można by nazwać buduarowymi i nad jednym z nich chciałabym się zatrzymać. To „Kobieta czesząca się”, zresztą motyw dość popularny, pojawiający się na sztalugach u wielu malarzy. Przed laty napisałam związany z tym tematem bodaj najkrótszy wiersz, złożony zaledwie z dwóch wersów: „W alabastrowym negliżu / gra na wionczeli włosów”.

Bo rzeczywiście, widoczna na obrazie kobieta przybrała pozę wionczelistki, mimo iż nie znajduje się na scenie, tylko w buduarze albo raczej w tzw. pokoju kąpielowym na kanapie, przykrytej miękko udrapowaną materią. Ona sama, wyszedłszy z kąpieli, owinięta jest w białe, ręcznikowe płótno, które zsunęło się z jej wilgotnego ciała, odsłaniając pełne piersi i fragment brzucha. Ciało ma gładkie niczym alabaster. Nagie ramiona ułożone są w sposób identyczny, jak u grającej na wionczeli artystki. Lewą dłonią dziewczyna przytrzymuje, a właściwie chwyta w pęk mokre włosy, spływające jedwabistą wstęgą aż poza jej kolana. Mają barwę niezwykłą, ni to rudą, ni karmazynową, widocznie poblask odbitego w oknie zachodzącego słońca rzuca na nie swe refleksy. Natomiast prawą dłonią, trzymającą grzebień, wodzi po nich jak smyczkiem. Głowę przechyliła na bok, pewnie dla ułatwienia sobie czesania, a może zasłuchiwała się w jakąś podskórną muzykę, która ją przepełnia. Nic dziwnego, odświeżona po kąpieli, zrelaksowana łagodnym dotykiem wody, może nawet rozmarzyła się, że to czyjeś dłonie... Całkiem możliwe, że przygotowuje się nie do wyjścia na scenę, tylko na schadzkę. Świadoma swego piękna, uroku młodości, jaki wkoło roztacza, ma teraz czas dla siebie, by zadbać o swoje ciało, wyzwolone z krępujących je zazwyczaj gorsetów i ciasno sznurowanych staników. Można by jej zarzucić, że siedzi w bałaganie, bowiem dokoła walają się bezładnie rozrzucone części stroju, tzw. kobiece fatałaszkę, uszyte z miękkich, delikatnych tkanin, w pastelowych kolorach. Mamy tutaj i odrobinę różu, i seledynu, i żółci, i błękitu, a także fragment wzorzystej tkaniny, leżącej u stóp kobiety i zwisającej z oparcia kanapy.

W sumie tworzy to widok pełen uroku. Zresztą ona sama celebrytuje czynność czesania, nie działa w pośpiechu, rozsmakowuje się w tej właśnie chwili, może i coś sobie nuci. Nie widać jej twarzy, gdyż odwróciła ją do ściany, by imponującej długości włosy mogły swobodnie spływać i poddać się delikatnej penetracji grzebienia.

Postać wypełnia całą przestrzeń obrazu, tchnie z niej spokój, poczucie intymności.

Kobieta nie brała szybkiego prysznic, wręcz przeciwnie, wyszła zapewne ze stylowej,

miedzianej wanny, w której woda skropiona pachnidłem, może i wonnym olejkiem podziałała na ciało jak eliksir. Dlatego ruchy dziewczyny są miękkie, odprężone. Z gracją i wdziękiem, przynależnym wiolonczelistkom wykonuje ten niezwykle, operujący ciszą koncert na szyldekretowym, a może i rogowym instrumencie. Włosy, napięte jak struny, lśnią. Cóż, pozostaje tylko patrzeć na to bez słowa.

*Maria Magdalena Poczaj*



Edgar Degas, Kobieta czesząca włosy, olej na płótnie, 1887.

Źródło: Wikioo.org - Encyklopedia Sztuk Pięknych



Emilian Prałat

## Wyjątkowa wystawa mickiewiczowska

Między pamięcią a mitem, między ciszą a głosem poety – rozciąga się Śmiełów. Tu słowo Mickiewicza odbija się echem w ścianach pałacu, a przedmioty stają się świadkami trwania. Wystawa jubileuszowa to nie tylko opowieść o pięćdziesięciu latach muzeum, lecz także o tym, jak literatura zamienia się w przestrzeń.

Takiej wystawy w historii polskiego muzealnictwa jeszcze nie było. Od 21 czerwca do 23 grudnia można oglądać ekspozycję **50 | ŚMIEŁÓW | MICKIEWICZ | MUZEUM**, przygotowaną z okazji jubileuszu pięćdziesięciolecia istnienia jedyne w Polsce muzeum biograficznego poświęconego Adamowi Mickiewiczowi.



Mija pół wieku od chwili, gdy w Śmiełowie powołano do życia muzeum poświęcone poecie – miejscu, które stało się strażnikiem pamięci o jego obecności w polskiej kulturze. Instytucja ta kontynuuje działania zapoczątkowane przez Gorzeńskich, fundatorów śmiełowskiego pałacu, a następnie rozwinięte przez Chełkowskich – kolejnych właścicieli majątku. To oni uczynili ze Śmiełowa przestrzeń kultu i duchowego dialogu z romantyzmem. Dziś muzeum pozostaje żywym świadectwem tej ciągłości – tradycji, która trwa nieprzerwanie od niemal dwustu lat.

Śmiełów jest miejscem wyjątkowym. Jego unikatowość polega nie tylko na tym, że jest jedynym w kraju muzeum biograficznym Mickiewicza, lecz także na tym, że stanowi przestrzeń, gdzie historia spotyka się z mitem, a pamięć z teraźniejszością. Pobyt poety w Śmiełowie w sierpniu 1831 roku to kamień węgielny tutejszego genius loci. Wielkopolska jest bowiem jedynym regionem współczesnej Polski, którego Mickiewicz – poeta o znaczeniu uniwersalnym – doświadczył osobiście. Jego obecność tutaj miała wymiar niemal symboliczny: wtopiła się w pejzaż kulturowy, w ludzką pamięć, w język.

Wystawa jubileuszowa gromadzi obiekty ze zbiorów Uniwersytetu Wileńskiego, muzeów narodowych w Krakowie, Warszawie i Wrocławiu, Ossolineum, Biblioteki Kórnickiej oraz Muzeum Adama Mickiewicza w Śmiełowie. Uzupełniają je pamiątki po rodzinie Chełkowskich, współtworzące wielogłosową opowieść o losach miejsca, poety i jego duchowych spadkobierców. To ekspozycja, która nie tylko prezentuje przedmioty, lecz także przywołuje emocje



Kossak, Piątkowski i Matejko - perły śmiełowskiej wystawy. Fot. W. Luchowski.

– subtelne drgania pamięci. Aranżacja wystawy jest częścią tej narracji. Dyskretnie wpleciona w przestrzeń ekspozycji stałej, wyróżnia się trzema elementami: wielkoformatowymi planszami stanowiącymi tło dla eksponatów, czarnymi aksamitnymi gablotami, w których rozbłyskują przedmioty związane z poetą oraz kolorystyką zaczerpniętą z fresków Smuglewiczów zdobiących śmiełowski pałac.



Pierwsza część wystawy przybliży historię Śmiełowa – jego pałacu, właścicieli i losów aż do 1939 roku. Szczególne miejsce zajmują tu Górzeńscy, a także refleksja nad znaczeniem pałacu dla dziejów polskiej architektury i sztuki. Wśród eksponatów zobaczyć można oryginalne listy Franciszka i Adama Mickiewiczów, kałamarz poety, z którym wyruszył do Turcji oraz tabliczki z trumien Górzeńskich.

Sekcja **Ja TU byłem** prezentuje najcenniejsze mickiewicziana – w tym dokumenty archiwalne z Wilna, po raz pierwszy pokazywane w Polsce. Osobiste przedmioty poety – stolik z Kowna, portfel, tabakierę, serwis kawowy, szachy, a nawet kamień pomalowany przez córkę Helenę – tworzą opowieść o „materialności obecności”. To rzeczy codzienne, lecz przechowujące echo ducha. Obok nich odpis *Dziadów* sporządzo-



Zbiory wileńskie - w centrum stolik Mickiewicza z Kowna. Fot. W. Luchowski.  
ny w Gruzji i kazanie z mszy żałobnej w Pleszewie – pamiątki pośmiertnego kultu.

Część poświęcona okresowi paryskiemu otwiera się płótnami Matejki i Kossaka, wprowadza w atmosferę emigracyjnego życia poety. W jednej z gablot – szafa z mieszkania Mickiewicza wypełniona jego osobistymi przedmiotami – przedmiotowa cisza zamienia się w medytację nad obecnością.

W rozdziale **Centrum kultu – Wielkopolska** przypomniano siedmiomiesięczny pobyt Mickiewicza w tym regionie. Choć krótki, był to czas decydujący. Ziemiańskie dwory, idee pracy organicznej, spotkania z ludźmi i pejzaż – wszystko to wpłynęło na wyobraźnię twórcy *Pana Tadeusza*. Wielkopolska stała się miejscem inspiracji i źródłem mitu, a zarazem centrum popularyzacji jego dzieła.

W części zatytułowanej **Umarł Mickiewicz – niech żyje Mickiewicz** wchodzimy w mrok. Widzimy poetę utrwalonego w rzeźbie, spoglądającego na panoramę Stambułu oraz wizerunek z ostatnich dni życia – maskę pośmiertną, srebrne wieńce z pogrzebu w 1890 roku, w tym jeden wysłany ze Śmiełowa. W tej przestrzeni śmierć staje się formą dalszego istnienia.

Rozdział **Jak za dni dawnych...** przywołuje historię rodu Chełkowskich – ich patriotyczne zaangażowanie, ideę „domu otwartego”, a także fenomen „dzieci śmiełowskich”, których losy wpisują się w dzieje Wielkopolski i Polski. Dzięki otwartości potomków rodu,

ekspozycja wzbogaciła się o pamiątki rodzinne, fotografie, elementy wyposażenia wnętrz i archiwalia, które pozwalają odtworzyć ikonografię pałacu sprzed wojny i opowiedzieć historię miejsca, które nie przestało żyć.

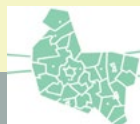
Część **M jak Mickiewicz** ukazuje kulturową i popkulturową obecność poety w polskiej tradycji. Fragmenty filmów, inscenizacji teatralnych, animacji – od *Dziadów* Dejmka, przez role Holoubka i Treli, aż po współczesne reinterpretacje – pokazują, że Mickiewicz wciąż jest obecny. W tej samej przestrzeni znajdziemy drobne, lecz symboliczne pamiątki: sportowe przypinki, medale, a nawet litewskie „krówki” z końca XIX wieku – dowody nieustającej obecności poety w codzienności kultury.

Opowieść zamyka przypomnienie historii muzeum, okoliczności jego powstania, ludzi, którzy je tworzyli, oraz planów na przyszłość. Wystawa gromadzi ponad sto obiektów – unikatów, dzieł czołowych polskich artystów. Scenariusz i koncepcja **Emiliana Prałata**, wspierane aranżacyjnie przez **Wojciecha Luchowskiego** i graficznie przez **Marcina Markowskiego**, stworzyły wystawę godną półwiecza istnienia Śmiełowa – miejsca, w którym duch Mickiewicza wciąż przemawia, a poezja pozostaje żywym doświadczeniem.

*Emilian Prałat*



*Pałac w Śmiełowie. Fot. Edyta Kulczak.*



Dariusz Głowacki

## Patrzac – Widzac



Ćwiczenia grecko-rzymskie – Afrodyta z Knidos, 2021, olej na płótnie, 120x80 cm.

Posągi, kwiaty, zwierzęta, butelki. Mimo zróżnicowanej tematyki obrazów jest coś, co zdaje się je zszywać mocną nicią i pozwala nadać im cechy spójności. Tym czymś są zdecydowane barwy i odniesienia do form abstrakcyjnych, do geometrii. Malarstwo mocno związane jest z tym, co nas otacza oraz naszymi wyobrażeniami i emocjami. Nazywamy to „rzeczywistością”. Dwuwymiarowa powierzchnia płótna jest dla niej rodzajem lustra, na którym artysta tworzy pewien rodzaj uporządkowanych złudzeń. Jednakże trójwymiarowa przestrzeń wokół nas także jest formą autoprojektacji, jest iluzją.

W moim malarstwie pojawiają się zarówno formy realistyczne, jak i abstrakcyjne kształty. Nie znajduję w pełni wyczerpującej odpowiedzi, dlaczego tak się dzieje. Na pewno mają z tym coś wspólnego platońskie dociekania nad naturą świata.

W *Micie o jaskini* Platona znajdujemy trzy poziomy rzeczywistości: poziom zmysłowy, poziom języka i poziom istoty rzeczy – świat idei. Platon sugeruje, że ten prawdziwy, niezmienny świat jest światem geometrii, którą w odniesieniu do ówczesnej epoki możemy traktować równoważnie z matematyką. Matematyka jest językiem nauki, dzięki niemu biologia, fizyka czy

chemia mogą zaznajomić nas z trudno dostępnymi terytoriami. Podobnie sztuka jest narzędziem ułatwiającym poruszanie się po rejonach nieznanych i nieoswojonych. Przyjmując taką jej naturę, mogę podejrzewać, że figuralne oraz geometryczne przedstawienia na moich obrazach nie odnoszą się tylko do konkretnych przedmiotów i zjawisk, ale i do źródeł o bardziej uniwersalnym charakterze. Przeczuję, że i malarstwo, i matematyka mogą przybliżyć nam światy, które leżą poza granicami wytyczonymi nam przez zmysły.

Muzeum Historii Przemysłu w Opatówku na swojej stałej ekspozycji pokazuje różne



↑ *Ćwiczenia grecko-rzymskie – Zeus Poseidon z Artemision, 2022, olej na płótnie, 75 x115 cm.*

↓ *Ćwiczenia grecko-rzymskie – Dyskobol, 2020, olej na płótnie, 80x120 cm.*





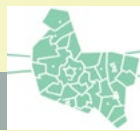
*jeden i dwa i trzy i... 2024, olej na płótnie, 90cm x 60 cm.*

instrumenty, maszyny i ich produkty. Tym, co bezpośrednio łączy naukę i sztukę, są pochodne obu tych dziedzin: technika i dizajn. Kiedy rozejrzemy się wokół nas (w dowolnej właściwie przestrzeni kształtowanej przez człowieka) i zastanowimy się, jak powstały, to okaże się, że są one wypadkową tych dwóch mocno splecionych ze sobą dziedzin. Technika jest pochodną nauki i dokonywanych przez nią odkryć, a projektowanie ma swoje źródła w sztuce i rozwiązaniach znajdujących w obrębie estetyki. Dzięki nim abstrakcyjne, często oderwane od konkretnego i pragmatyzmu obszary kultury człowieka, stają się nam przydatne i są obecne w życiu codziennym. Muzeum jest tego znakomitym dowodem.

*Dariusz Głowacki*



*Ćwiczenia grecko-rzymskie – Wenus Josepha Nollekens, 2023, olej na płótnie, 80 x 120 cm.*



Zbigniew Cichocki

## Katamaran Polkat i Mieszko I

No i stało się. W sierpniu 2025 roku po sześciu latach od rozpoczęcia budowy z przerwami i wznowieniami katamaran pneumatyczny czteroosobowy, składany do bagażnika samochodu osobowego i do szafy garderobianej, mojego pomysłu i mojej budowy, został ukończony i zwodowany. Na chrzest wybrałem szczególne miejsce, Jezioro Lednickie, pośrodku którego pływa wyspa z grodem Mieszka, i gdzie, domniema się, odbył się chrzest Polski. Wymowa świadomie symboliczna. Matką chrzestną uczyniłem Marię Mańkowską – przyjaciółkę, cenioną nauczycielkę i artystkę. Nazwałem katamaran Polkat, a jego funkcją jest turystyka i rekreacja rodzinna. Po pierwszych rejsach mogę powiedzieć, że założenia projektowe sprawdziły się w praktyce: jest wygodny, bezpieczny, nie wywraca się i nie zatapia. Poza tym jego następne zalety to przestronność, a ponadto zwrotność i szybkość. Wszystkie tegoroczne rejsy odbyły się na Jeziorze Lednickim i należały do ekscytujących, jeśli chodzi o przygody żeglarskie. Po sezonie wymienić muszę złamany pierwszy maszt i miecz (zdarzyło się to w sztormową pogodę i nocne żeglowanie - niezwykle romantyczne, a



*Etapy montażu katamarana.*



wręcz metafizyczne).

Ale czas na meritum - wyjaśnię tytuł - co wspólnego ma mój katamaran z pierwszym władcą Polski Mieszkiem I. Otóż, jak wspomniałem wybór Jeziora Lednickiego na rejs testowy to decyzja świadomie symboliczna. Na jeziorze o długości 7.5 kilometra znajduje się pięć wysp, z których trzy są stanowiskami archeologicznymi, pozostałe rezerwatem kormoranów i czapli. Stanowiska archeologiczne dotyczą badania osadnictwa pierwszych Piastów i zlokalizowania grodziska i siedziby Mieszka I. Zachowane ruiny dają świadectwo, a badania wskazały nawet na możliwość czegoś niezwykłego - chrztu Polski w tym właśnie miejscu. Wyspy są często odwiedzane przez turystów, bywam tu od ponad 40 lat. W tym roku dzięki własnej jednostce pływającej, która daje mi możliwości slipowania w dowolnym miejscu, mogłem zobaczyć wyspę, jak i całe jezioro, od strony wody. Podpłynąłem nad zatopione relikty tysiącletniego mostu. W głębi przezroczystej wody dostrzegłem wyraźny kształt łodzi dłubanki, którą da się zobaczyć tylko z tej perspektywy. Po opłynięciu wszystkich zakamarków jeziora mam refleksję, którą przedstawię i dalej omówię w dwóch głównych tezach, a właściwie trzech:



1. Mieszko I był wielkim estetą.
2. Mieszko I mógł mieć na Jeziorze Lednickim jacht żaglowy.
3. Łodzie żaglowe były w powszechnym zastosowaniu na jeziorach i rzekach u zarania państwowości polskiej.

A teraz, skąd takie myśli. Mogą wielu zaszokować, wszak badania archeologiczne nic nigdy takiego nie udokumentowały. Jedyne relikty to dłubanki. Ale trzeba pamiętać, że od czasu pierwszych Piastów minęło 1000 i więcej lat, a łodzie żaglowe budowano z desek kołkowanych do konstrukcji, zarówno one, jak i płócienne żagle, to materiały, które przez lata zatopione w wodzie ulegają rozpadowi. Sądzę, że jeśli archeolodzy nie znaleźli konkretnych reliktyw, to nie można twierdzić kategorycznie, że czegoś takiego nie było.

Istnienie łodzi żaglowych sięga tysięcy lat wstecz, epoki faraonów, później Fenicjan, Greków, Rzymian, a ostatecznie współczesnym Piastom Wikingom. Mieszko I jako władca, czyli człowiek światowy, jak dziś byśmy o nim powiedzieli, znał z pewnością słynne łodzie Wikingów drakkary, może i pływał na nich. Jeśli zatem miał taką fanaberię, aby sprowadzić sobie z Hiszpanii wielbłądy, bo kroniki potwierdzają ten fakt, to mógłby także sprowadzić



*Makieta wyspy Ostrowa Lednickiego za Mieszka I.*

<https://share.google/images/X7wDJH7zWstBEh8Ka>

władców. I właśnie to, pływając swoim katamaranem po jeziorze, zaczęło ożywiać moją wyobraźnię. Zastanawiałem się, jak tu tysiąc lat temu toczyło się zwykle codzienne życie, choćby w letnie miesiące. Ludzie nie tylko pracują i wojują, męczą się i smucą, ale wypoczywają i radują się.

Jezioro Lednickie od strony wody wygląda niezwykle malowniczo. Pięć wysp, półwyspy, płycizny, laguny, piaszczyste plaże, krystalicznie czysta woda, ławice ryb, ptactwo - kaczkę, łabędzie, kormorany, czaple, jastrzębie, a kiedyś i orły pewnie, jelenie i sarny u wodopoju... Miejsce posiada podniosłą energetyczność, którą wcześniej odczułem na Jeziorze Dobskim na Mazurach, o którym pisze się, iż ma właściwości radiestezyjne. No proszę - i też wyspa Gilma z grodziskiem pruskich Galindów. Niniejszym odpowiedziałem na pierwszą tezę, że Mieszko I, wybierając jezioro na centrum państwowości, kierował się także względami estetycznymi i metafizycznymi.

Ja zaś na tym jeziorze w pełni słońca i wiatru, także gwiazd - w rejs wypływałem i takich myśli i obrazów dostarczonych przez wyobraźnię zaznałem. W Roku Pańskim 2025.

*Zbigniew Cichocki*

*Plaża nad Jeziorem Lednickim. Po prawej widoczny Ostrów Lednicki.*



## Ostrowskie wydarzenia kulturalne 2025 obserwuje

Janusz Urbaniak

### Obrazy Bohdana Cieślaka.

Finisaż wystawy „Poszukiwanie nowej przeszłości” odbył się 3 stycznia w Galerii Sztuki Współczesnej. Bohdan Cieślak architekt wnętrz, scenograf i rysownik, profesor Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu kieruje Pracownią Architektury Widowiska. Z urodzenia jest ostrowianinem. Spotkanie prowadziła poetka Edyta Kulczak.

Najczęściej przywoływano te tematy obrazów, które artysta określa mianem człowieka zawieszonoego w przestrzeni. W dyskusji padło też hasło sztucznej inteligencji. Zastanawiano się, jak dalece może ona ingerować w malarstwo, film, poezję. Wyrażano niepokój o czystość i wolność artystyczną. Pytano malarza, w jaki sposób rozdziela bycie naukowcem i człowiekiem sztuki. O to, czy przeżycia osobiste mają wpływ na tworzone przezeń prace.

Na ostatnie pytanie profesor odpowiedział negująco, wiele mówił natomiast o swojej fascynacji starym kinem, o pracy w teatrze, tłumaczył, jak rozumie tytuł wystawy. Często wracał do tematu surrealizmu, który ukształtował jego artystyczną wyobraźnię. Prowadząca dopytywała o wpływ, jaki na jego sztukę wywarł włoski malarz metafizyczny Giorgio de Chirico. Padały też pytania formalne, które zadawali tworzący w Ostrowie malarze, co potwierdziło, że wystawa była oczekiwanym wydarzeniem artystycznym.



*Red. Edyta Kulczak i prof. Bohdan Cieślak.*

### Warsztaty literackie.

W Forum Synagoga rozpoczął się czwarty rok zajęć w ramach Pracowni Tekstu. To projekt Aleksandry Kiełb-Szawuły, poetki i wokalistki, gospodyni tego miejsca. Zajęcia prowadzi krakowski poeta i krytyk Adam Buszek. Odbywają się raz w miesiącu, uczestniczy w nich

około dwudziestu osób. Warsztatowicze rozmawiają o poezji i podejmują samodzielne próby, czego zwieńczeniem jest antologia prezentowana w trakcie jesienno-festiwalu Wszystko jest poezją. W Pracowni spotykają się nowicjusze, a także osoby z dorobkiem książkowym czy oczekujący debiutu. Każdy z uczestników otrzymuje teksty literackie lub psychologiczne, nad którymi toczy się dyskusja. Stanowi wstęp do sformułowania tematu wiersza lub prozy, który uczestnicy przelewają na papier. Nie istnieje całościowe ocenianie tekstów czy ich klasyfikowanie. Uczestnicy zajęć czują się zintegrowaną otwartą grupą. Skład comiesięcznych spotkań nie zawsze jest identyczny. Bywa, że uczestniczą w nich osoby z daleka - z Poznania czy Wrocławia. A także pewien obywatel Ukrainy, którego wiersze tłumaczone są na język polski, choć najpiękniej brzmią po ukraińsku.

### **Wiersze Elżbiety Mikołajczyk.**

Na początku roku nowy tomik poetycki „Hologramy zdarzeń” przedstawiła (w Mediatece i Synagodze) Elżbieta Mikołajczyk. Jej droga poetycka zaczęła się w 2003 roku podczas wieczorów Działań Artystycznych Szufłada, które promują i dokumentują twórczość artystów z Ostrowa i regionu. Uwagę zwraca niefilologiczny tytuł książki. Autorka jest pedagogiem, także absolwentką technologii informatycznej na wydziale matematycznym UAM. Przypomina, że od czasów Awangardy Krakowskiej do wiersza można wprowadzić każdą frazeologię. Także słowa techniczno-informatyczne, jak interfejs, cyberprzestrzeń, emotikon, resetowanie.

Prowadzący spotkanie mówił o miejscu poetki w literackim krajobrazie Ostrowa, o odwadze zaskakiwania nowymi polami zainteresowań. Zwracał uwagę na niebanalny język, umiejętność odnajdywania nowych tematów czy ujęć. Obecna na spotkaniu aforystka Urszula Zybura podkreśliła, że wiersze Mikołajczyk mają w sobie zachęcającą dyskrecję, a ich autorka pokazuje zaledwie mały wycinek oglądanego świata. Jest w nich szkicowość, która nadaje im lirycznego uroku.

### **Nowy tom Wojciecha Gawłowskiego.**

Wieczór w Bibliotece Publicznej przypomniał prawdę, która w Ostrowie chyba nie jest do końca powszechna. Nie potrzeba poety piszącego na najwyższym poziomie zapraszać z daleka. Krajowe nazwisko „mieszka” tutaj.



*Wojciech Gawłowski i Tomasz Gruchot.*

Wojciech Gawłowski, rdzenny ostrowianin, autor 12 książek poetyckich, jest laureatem medalu im. Stanisława Grochowiaka, był także wyróżniony przez kapitułę Nagrody im. ks. Jana Twardowskiego. Od lat związany jest z czasopiśmie literackim „Topos”.

Poezja osadzona w kulturze chrześcijańskiej pokazuje życie, które w wielu przejawach jest zagadkowe, tajemnicze i ciemne. Dotyka tym samym problematyki zła, które burzy poczucie poznawczego i ontologicznego spokoju. Tematem wieczoru uczyniono nowy tomik „Polowanie na chimery” (2024). W wierszach jest wiele odwołań do literatury i mitologii. Na początku poeta przeczytał tytułowy poemat, którego motto zaczerpnął z twórczości Ar-

turo Pereza-Reverta: *Świat nigdy nie wiedział tak dużo o sobie samym i swojej naturze, ale cała ta wiedza do niczego mu nie służy*. Była to prowokacja, na którą odpowiedziała jedna z dyskusantek. W przewrotny sposób udowodniała, że w książce widzi przede wszystkim to, co dobre i konstruktywne.

Dyskusja, prowadzona przez dr Tomasza Gruchota, dowodziła, że u Gawłowskiego odnajdujemy ciągłą dwoistość światła i ciemności, dobra i zła, właściwie – równowagę między tymi wartościami. Podmiot liryczny odnajduje jednak w sobie wewnętrzny głos wiary.

Wiersze zestawiano z Różewiczem, Grochowiakiem czy Miłoszem. Ciekawy, udany wieczór dowodzący, że poezja potrafi poruszyć, zadziwić, ale i zaniepokoić.

### Wizyta Małgorzaty Lebdy.

Tematem spotkania z utytułowaną poetką była jej ostatnia powieść (czy powieść?) „Łakome” (2023). Spotkanie prowadził ostrowski literaturoznawca dr Tomasz Gruchot.

Poetka, odpowiadając na jego pytania-tezy, przedstawiła konsekwentną i bogatą wizję swojego życiopisania. Biografizm jest zasadniczym rysem jej twórczości. Po latach życia w Krakowie wróciła do małej wsi w Beskidzie Sądeckim, gdzie spędziła dzieciństwo - z piętnem ziemi, odciskającej się na ludziach natury, z losem zwierząt, które żyją tylko po to, by mogły zostać spożyte. To uformowało jej pisarską osobowość. W gminnej bibliotece odkryła wiersze Tadeusza Nowaka, w których chrześcijańskość łączyła się z tym, co pogańskie.

Mimo że życie samo wtłoczyło ją w poznawczą niezwykłość, długo poszukiwała języka, by o tym misternie opowiedzieć. W czasie dyskusji usłyszała wiele tropów, z którymi – jak podkreśliła – chętnie się zapozna, bo po to spotyka się z czytelnikami. Na zakończenie wypowiedziała coś bardzo ważnego. Nie zdarzyło się jej jeszcze, aby prowadzący wieczór autorski w tak celny i głęboki sposób potrafił wejrzeć w jej książkę. „To najlepsze moje spotkanie



Od lewej: Tomasz Gruchot i Małgorzata Lebda.

z wszystkich dotychczasowych” – te słowa skierowała do Tomasza Gruchota.

### Spotkanie z Anną Musiałowicz.

Młoda pisarka (debiut w 2016) ma w dorobku kilkadziesiąt opowiadań i kilka powieści. Już pierwszą nominowano w plebiscycie [lubimyczytac.pl](http://lubimyczytac.pl). Po zbutwiałych schodach, w tym samym plebiscycie na Książkę Roku 2024, otrzymała drugą lokatę w kategorii horror. Pisarka urodziła się i mieszka w Ostrowie Wielkopolskim.

Przepytująca ją dr Bogna Walkowiak skupiła się na najnowszej powieści *Pamiętam tylko ogień* (2025), odnosząc się także do wcześniejszych. Przywołują one światy po części nierzeczywiste, są w nich elementy magii, marzeń sennych, zakłóconych związków przyczynowo-skutkowych. Autorka na pytania odpowiadała nieco powściągliwie, jakby speszona sukcesami i może przyrównywaniem jej do Stephen Kinga.

Prowadząca wskazywała na stałe motywy w książkach Musiałowicz (kobiety, koty, fotografie, itp.) i dopytywała, czy miejsca literackich zdarzeń mają związek z Ostrowem. Do książek autorki weszło wiele zdarzeń z dzieciństwa. W *Śnieg jeszcze czysty* (2022) pokazała obecność we współczesnej społeczności wiejskiej słowiańskich wierzeń i przesądów.

Jaką literaturę czyta? Wymieniła Orhana Pamuka i Mario Llose, choć nie ukrywała wpływu, jaki wywarł na jej literacki gust Neil Gaiman. – A czy dzisiaj poprawiłaby Pani jakąś swoją książkę? – padło pytanie z sali. – Każdą – odpowiedziała.



*Od lewej: B. Skrzypczak-Walkowiak, A. Musiałowicz.*

### **Wiersze Macieja Pajaka.**

Ten wieczór autorski miał coś z symbolu. Prowadziła go szefowa Forum Synagoga Aleksandra Kiełb-Szawuła, a wiersze z książki *Za niebieskim zakrętem* komentowała Alicja Przepiórka. Maciej i Alicja są uczestnikami projektu *Pracownia Tekstu*. A że redaktorką tomiku jest Anita Pawlak, także niegdyś słuchaczka *Pracowni*, było to spotkanie „u źródła”.

Jest to czwarta pozycja poetycka Macieja Pajaka (w tytule każdej jest przymiotnik „niebieski”), ostrowianina, z wykształcenia nawigatora morskiego niegdyś pływającego po oceanie. Wiersze tworzy także w języku angielskim, jest laureatem wielu lokalnych nagród.

Jego utwory są zrytmizowane i poszukujące rymów. Uwagę zwraca odczytanie autora i osadzenie wierszy w kontekście kulturowym – od literatury, poprzez religię, do historii. Sporą częścią jego pisarskiej aktywności jest współpraca z zespołem muzycznym *Unknown Artist*

Kompozycje zespołu zawierają teksty Macieja i tego wieczoru zostały zaprezentowane, co spotkaniu nadało koloryt.

Poniżej fragment wiersza *Afgański poeta* (inspirowanego *Modlitwą o deszcz Jagielskiego*), pokazujący kierunek, którym podąża Maciej Pająk. Kierunek – godny kontynuacji.



Od lewej: A. Przepiórka, M. Pająk, A. Kiełb-Szawuła.

Jeśli mnie zapytasz,  
kiedy będziesz ciekawy,  
opowiem tobie:  
o dawnych cudach Kandaharu,  
o wyschniętej rzece Kabul,  
o pasterzach wdychających kurz,  
tak jak ty wdychasz powietrze  
o smaku baraniny  
i zapachu soczystych winogron,  
o kojącym cieniu  
owocowych drzew Heratu,  
o wiecznej modlitwie o deszcz,  
słanej w cztery kierunki świata...  
Naszego świata.

## Izabela Fietkiewicz-Paszek w Synagodze.

Kaliska poetka wkroczyła do literatury pewnym krokiem. Jej Portret niesymetryczny (2010) uhonorowano II nagrodą na najlepszy debiut roku. To najbardziej osobista z wszystkich wydanych przez nią książek. Dużo tu cytatów – wiersze są gęste, wieloznaczne, podkreślają treściowy brak symetrii na wielu poziomach. Pisała ją jako osoba „świetnie wyedukowana klasycznie i popkulturowo, biegle orientująca się we współczesnej liryce”, sięgająca do konotacji filozoficznych. A także do kadrów filmów, które kiedyś widziała czy do obrazów.

Prowadzący spotkanie dr Tomasz Gruchot pytał o adresatów książek. Przyznała, że dwie ostatnie były niejako „kierowane”. – Wszystko zostało już kiedyś napisane – przypomniała ze skromnością. O jej poezji pisali znani krytycy: Maliszewski, Samsel, Orliński, Jastrun. Za sprawą współpracy krytycznej z czasopismami literackimi, a także vloga „Krótka piłka”, Fietkiewicz stara się być w centrum życia literackiego.

W Lipcu na Białorusi z 2020 roku („to moja najbardziej reportażowa poezja!”) pyta o własne



*Tomasz Gruchot i Izabela Fietkiewicz-Paszek.*

człowieczeństwo, odbywając podróż do miejsc, skąd wywodzi się jej rodzina. Wiersze tym razem są krótkie – pokazuje w nich miasta, wsie, budowle sakralne, krajobrazy. Pojawiają się ślady prowadzące do Mickiewicza, Orzeszkowej, Niemena.

Poczucie tragizmu i „zagładnięcie” w śmierć rozwija się w Końcu srebrnej nitki (2022). Tomasz Gruchot podkreślił, że forma sonetowa jest dla poety wielkim sprawdzianem. 22 sonety – 22 postaci z datą narodzin i śmierci, ważne dla historii i współczesności Kalisza. Miasta niekoniecznie identyfikowanego z Wielkopolską. Miasta innego, nieco szarego, który stał się domem poetów, literatów, wybrańców pióra i nauki, ale też miastem cierpienia, zgryzo-

ty, zmagają z codziennością, jak pisała Anna Tabaka. A także – eksterminacji kilku tysięcy Żydów. Spośród nich wywodziło się wielu wybitnych i oddanych Kaliszowi obywateli. Rola książki jest więc niebagatelna.

### **Finał wystawy Rowińskiego.**

Wystawę przygotowało Muzeum Miasta Ostrowa Wielkopolskiego. Trwała od kwietnia do 10 sierpnia, bo w tym dniu przypadła 150. rocznica urodzin Stefana Rowińskiego. Był dziennikarzem, księgarzem, introligatorem, społecznikiem. W 1903 roku przejął księgarnię, drukarnię i wydawnictwo „Gazety Ostrowskiej”. Był pierwszym burmistrzem Ostrowa w II Rzeczypospolitej (1919-1920). Pełnił funkcję radnego miejskiego i później – delegata rządu londyńskiego na Wielkopolskę.

Wystawa „Stefan Rowiński polityk-społecznik-księgarz-wydawca. W 150. rocznicę urodzin” pokazywała protagonistę we wszystkich tych rolach publicznych. Były plansze z patriotycznymi odezwaniami z czasu odzyskiwania niepodległości, a także meble stanowiące niegdyś gabinet Rowińskiego – wypożyczone od rodziny z Poznania. Na specjalnym wieszaku zaprezentowano oryginalne wydania „Gazety Ostrowskiej” z lat 30.

Hit ekspozycji stanowił materiał filmowy – autentyczny i fabularny. Na monitorach odwiedzający oglądali Boże Ciało przed domem Stefana Rowińskiego oraz dźwiękowe wspomnienie o nim pisarki Jadwigi Żylińskiej. Pokazano też fragment filmu fabularnego Republika Nadziei w reż. Zbigniewa Kuźmińskiego (1988), opowiadający o powstaniu Republiki Ostrowskiej.

10 sierpnia muzeum było otwarte do godz. 21.00, dzięki czemu ekspozycję odwiedziło aż 297 osób. Tu i ówdzie przechadzała się para ostrowian w strojach z dawnej epoki, był także katarciarz. Przed muzeum koncertował zespół Warszawskie Combo Taneczne.

### **Święto grafiki w Ratuszu.**

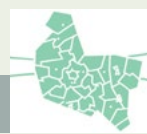
6 września odbył się wernisaż XIX Międzynarodowego Konkursu Małej Formy Graficznej i Ekslibrisu. To stała impreza, w której uczestniczą artyści z całego świata. Ostrowskie święto grafiki, organizowane i odbywające się w Muzeum Miasta Ostrowa Wielkopolskiego jest największym przedsięwzięciem kulturalnym w południowej Wielkopolsce. To najważniejsza branżowa impreza na świecie.

W tym roku 492 artystów z 38 krajów nadesłało 1597 prac. Najliczniejszą reprezentację stanowili Polacy (314), Ukraińcy (29), Tajlandczycy (20), Argentyńczycy i Włosi (15), Meksykanie (11) oraz Bułgarzy i Czesi (10). Większość laureatów przybyła do ratusza osobiście. Najdłuższą drogę pokonali dwaj graficy z Japonii i Izraela...

Pracami jury kierował prof. Maciej Guźniczak. I nagrodę otrzymał Masaaki Sugita z Japonii, II – Ryszard Baloń, a dwie III równorzędnie – Jan Szmatloch i Pietro Paolo Tarasco z Włoch. Nagroda Muzeum Miasta Ostrowa Wielkopolskiego powędrowała do Daryi Hancharowej (Polska), a za ekslibrisy literackie do Pavla Hlaváty (Czechy).

Prace związane z organizacją konkursu realizował zespół pracowników muzeum pod kierunkiem kustosz Barbary Jarosz. Witold Banach dziękował nie tylko wszystkim zaangażowanym w imprezę pracownikom, ale także dyrektorom instytucji, które współuczestniczyły w święcie grafiki. Wyrazy szczególnego uznania skierował do prezydent Ostrowa Wielkopolskiego Beaty Klimek, która wsparła konkurs finansowo, co w obliczu problemów instytucji kultury na świecie ma ogromne znaczenie.

*Janusz Urbaniak*



# Wielkopolski Widnokrag

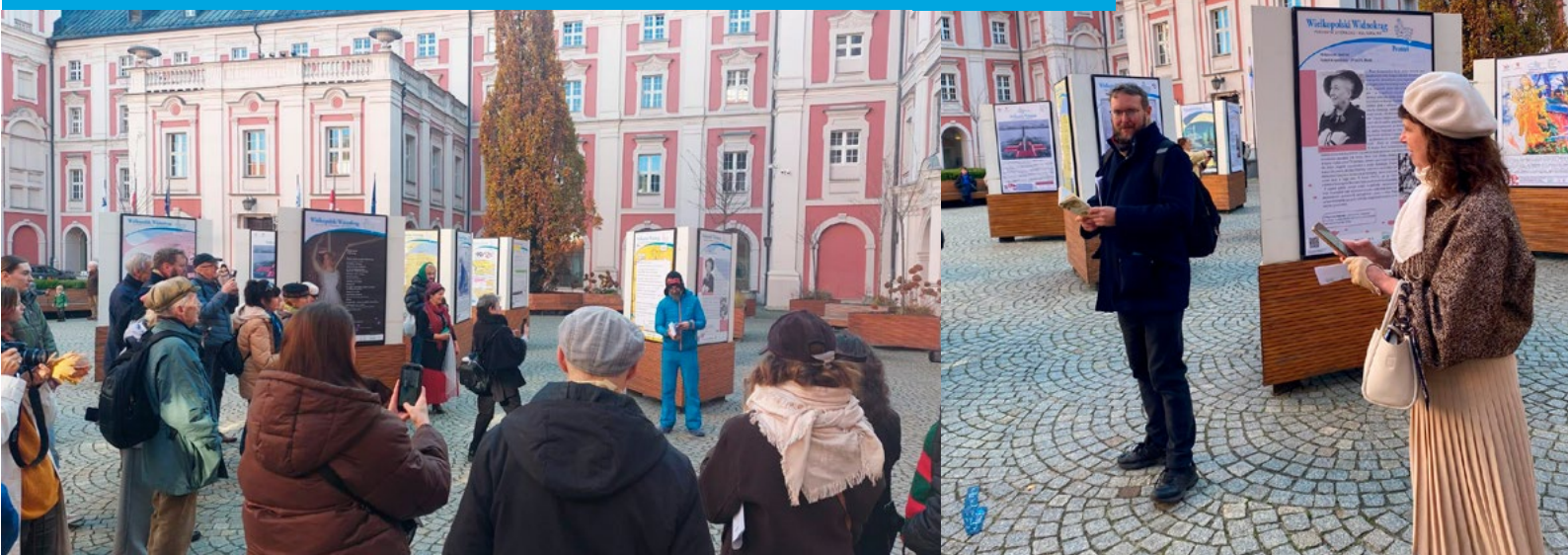
PERIODYK LITERACKO - KULTURALNY



**27**  
plansz  
WW



**Poznaj Wielkopolski Widnokrag  
fotoreportaż 7 - 21 listopada 2025**





27  
plansz  
WW

W dniach od 7 do 21 listopada, przy pięknej pogodzie, prezentowaliśmy na Wolnym Dzialeńcu Urzędu Miasta Poznania 27 plansz ilustrujących idee działalności Wielkopolskiego Widnokręgu. Była to okazja do świętowania „na żywo”, pięciu lat wydawania czasopisma i realizacji projektu Wielkopolska Kultura Połączona Siecią. Pokazali się artyści, którzy z nami współpracują oraz ci, którzy nas czytają i nam kibicują - twórcy pisma, goście i autorzy artykułów, poeci i artyści oraz czytelnicy. Na planszach wystawy znaleźli się: Danuta Zasada, Bohdan Cieślak, Małgorzata Jańczak, Przemysław Kulczak, Witold Zakrzewski, Jerzy Grupiński, Beata Bednarowska, Edyta Kulczak, Adam Wiśniewski, Sergiusz Myszograj, Urszula Zybura, Ares Chadzinikolau, Igor Frender, Marek Wawrzekiewicz, Jakub Sajkowski, Janusz Urbaniak, Witold Banach, Izabela Fietkiewicz-Paszek, Maciej Pająk, Marcin Rogalski, Rudy Gomez Rivas, Marika Lipowska, Mikołaj Olejniczak, Sebastian Pluta. Wszystkim serdecznie dziękujemy!!!

Realizator Projektu  
Poznaj Wielkopolski Widnokrąg  
i Wielkopolska Kultura Połączona Siecią:



Projekt Wielkopolska Kultura Połączona Siecią  
zrealizowano ze środków Urzędu Marszałkowskiego:



Projekt Poznaj Wielkopolski Widnokrąg  
sfinansowano ze środków budżetowych  
Miasta Poznania



[powrót do spisu treści](#)

